

Kódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 24 (1123) ROK XXII

17 CZERWCA 1979 R.

CENA 3 zł



Foto: Archiwum

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TRZYSTA RAZY SZCZĘŚCIE

Zaczął się w aleksandrowskiej „Sandrze”.
Potem przyszła kolej na Łódź — „Harnam”, „Iwona” oraz, w 1976 roku, „Olimpia”.

Był to w pewnym sensie moment przełomowy, albowiem zakład ten, aczkolwiek patent należy do „Sandry”, najlepiej potrafił zrealizować w praktyce piękną ideę oddziałów pracy chronionej.

1.

Ot, ktoś zaobserwował, że zatrudnione kobiety brzemienne, zarówno te w pierwszych miesiącach ciąży, jak i te w ostatnich, są w większości traktowane w produkcji na zasadzie zatkajdziury — wynieś, przynieś, pozamiataj. Nie dawało to, rzecz jasna, nadzwyczajnych efektów ekonomicznych, co zaś się tyczy zainteresowanych kobiet, przechodziły do pracy z niejakim kompleksem, skarżąc się od czasu do czasu koleżankom i zwierzchnikom, że w gruncie rzeczy czują się zupełnie niepotrzebne.

Utyksowały również, że nie czują się dobrze, czemu trudno się dziwić, znając atmosferę najdoskonalszych nawet sal produkcyjnych (szczególnie latem) oraz specyfikę przemysłu nazwanego dowcipnie lekkim — monotonie wykonywanych czynności, permanentny hałas, toksyczność niektórych oddziałów, konieczność stałego napięcia uwagi.

Znaleźli się zatem ludzie, którzy postanowili zmienić coś w tej sferze. Bo kwiatki, herbatka i jakiś skromny prezent, czym odjałkowały się za zwyczaj Święto Kobiet i Dzień Dziecka, to trochę za mało, biorąc pod uwagę kobiecą połowę miasta i raporty medycyny przemysłowej w owej kwestii.

Ci z „Olimpii”, partia, dyrekcja, rada zakładowa, lekarze, mieli jasny obraz sytuacji:
Łódź jest ośrodkiem, w którym

pracuje duża ilość kobiet, przeszło połowa wszystkich zatrudnionych, co wyróżnia miasto spośród innych. Wyróżnia je również to, że Łódź bije krajowy rekord w dziedzinie wcześniejszego, będąc wedle ilości tych urodzin — na pierwszym, a według bardziej humanitarnej nomenklatury lekarskiej — na ostatnim miejscu w Polsce; średnia krajowa wynosiła bowiem zaledwie 8 procent, zaś w Łodzi: 13,8.

Skoro kobieta ciężarna jest świętością, a dzieci przyszłością narodu, skoro bębni się o tym w kółko Macieju we wszystkich środkach masowego przekazu i na wszystkich ważnych zebraniach, może uda się zorganizować — z korzyścią dla przyszłych matek i dla fabryki — oddział wzorowy, eksperymentalny, który nie będzie bynajmniej fikcją.

Tak medytowano w „Olimpii”, po zapoznaniu się z oddziałami pracy chronionej w innych zakładach. I postanowiono uruchomić sprawę w dniu 4 października 1976 roku.

Irena Krzywdzińska, kierownik działu organizacji, wspomina te czasy z westchnieniem:

— Wie pan, pierwsza rzecz, to trzeba było wygospodarować odpowiednie miejsce. „Olimpia”, owszem,

Dalszy ciąg na str. 3

W NUMERZE:

Paganini
szalbierstwa

Przez pięć lat siedziałem we Wronkach i w Koronowie. Bo ja należałem do Narodowej Organizacji Wojskowej.
— Panie, jestem w pańskim wieku! — szepczał mi psychiatra. — Taka organizacja nie istniała wówczas.
— To za co mnie skazano?

(RYSZARD BINKOWSKI)

Magister przepisuje
na maszynie...

Można powiedzieć, bez obawy o przesadę — że mamy dużo pracowników nauki, znacznie mniej uczonych. Słyszysz, że minęły już czasy genialnych jednostek, że dziś naukę tworzą zespoły. Jest w tym niewątpliwie prawda, nie zawsze jednak indywidualność kierującego zespołem będzie wywierała nań wpływ, będzie decydowała o kierunku pracy, jej tempie i postępie.

(LUCJUSZ WŁODKOWSKI)

Wola porozumienia

Kryzys uczuć przedstawiany jest zazwyczaj nie w oderwaniu, lecz w połączeniu z innymi niepowodzeniami życiowymi — oto w doskonałej do tej pory funkcjonującym mechanizmie coś się nagle zaczyna i stawia pod znakiem zapytania dotychczasowe sukcesy bohatera.

(TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI)

PONADTO:

■ Załącznik ■ Laureaci „Czołenka Tkackiego” ■ Nie tylko dla Bielska ■ Jak to z Inem jest ■ W świecie ■ Recenzje ■ Felietony

W NASTĘPNYCH
NUMERACH:

■ Spotkanie w hotelu „Hessischer Hof”
■ Nazywali go „Szczupak”
■ Spotkanie z Alim i Bibi Chanym
■ W poszukiwaniu kształtu rzeczy
■ Bajońskie bony

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

WOLA POROZUMIENIA

I

Dokładnie w połowie lat siedemdziesiątych do dyskusji o współczesnej prozie polskiej włączyły się „Szpilki”. Spośród kilku wypowiedzi utkwili mi w pamięci złośliwy wierszyk Witolda Zechentera, od przypomnienia którego chciałbym rozpocząć kilka refleksji poświęconych nie tyle zresztą obrazowi naszego kraju w literaturze pięknej, co raczej obrazowi literatury lat ostatnich. Zechenter prowokował:

Czytam i czytam —
nie nie rozumiem,
gubię się w dziwnych
postaci tłumie,
żał mię ogarnia,
nuda bezkresna...
A to jest polska
powieść współczesna!

Część publiczności czytającej zapewne uwierzyła satyrykowi. Na szczęście — nie wszyscy. Jeśli o mnie chodzi przyznać muszę, że podczas lektury współczesnych powieści nie towarzyszyło mi ani uczucie żalu, ani nie ogarniała mnie nuda (z pewnymi, oczywiście, wyjątkami), borykałem się natomiast z kłopotem, jakim następuje w systematyzowaniu

aktualnego dorobku prozatorskiego. Tym bardziej że przyjąłem tu dwa ograniczenia. Po pierwsze uwagi te oscylować będą wokół tematu „Obraz Polski lat siedemdziesiątych w prozie” i po drugie — wspierać się w egzemplifikacji o dokonanie środowiska łódzkiego.

Sformułowanie tematu mogłoby w pierwszej chwili wywołać wrażenie, że chodzi o bierne potraktowanie współczesnej literatury, o uznanie jej za odmianę stendhałowskiego zwierciadła, w miarę możliwości wiernie odbijającego to wszystko, co się w bliższej i dalszej odległości piszącego rozgrywa. Rezygnuję jednak z tej najprostszej wykładni tematu na rzecz uznania literatury najnowszej za formę dialogu, jaki pisarz toczy ze społeczeństwem, za odmianę intelektualnej inspiracji. Stąd nacisk na literaturę jako całość, a nie tylko na ujęcia wprost odzwierciedlające rzeczywistość.

W dialogu owym pisarz z reguły pragnie narzucić czytelnikowi swój sposób widzenia, własne odczucia, doświadczenia, niekiedy bywa przecież bezradny i wtedy usprawiedliwia swoją rację bytu po prostu stawianiem pytań.

W dialogu owym krytyk raz bywa pośrednikiem, innym razem tyłko

świadkiem, ale zawsze stara się pamiętać, że literatura — jeśli chce wywierać wpływ na społeczeństwo — działać powinna według zasady „hic et nunc”. Jakże jest więc to nasze dzisiejsze: „tu i teraz”? Klasyk współczesnej krytyki, Jan Błoński, powiada w wydanym niedawno „Odmarszu”: „...nie ma dzisiaj Normy, która by wyznaczała szlak kulturze, nie ma też wielkich Przodków, do których można się w każdej chwili odwołać. Jest tylko, jest jeszcze... wola porozumienia, wola dialogu”. Jak więc wygląda dziś wola porozumienia pisarza z czytelnikiem?

Prozę, jaka powstała w łódzkim środowisku pisarskim w ciągu ostatnich dziesięcioleci, porządkować można rozmaicie. Chcę spojrzeć na nią możliwie szeroko, to znaczy uwzględnić po prostu różne postawy: nie umniejszyć niczego z poczucia posłannictwa artysty, odnotować tendencje kronikarskie, przedstawić wypełnianie obowiązków obywatelskich. Może uda się w ten sposób naszkicować obraz literatury, z którego wyłoniłaby się następnie wizja kraju, w jakim literatura ta

Dalszy ciąg na str. 9

Mężczyzna w nienagannie zaprasowanych spodniach w kratę i beżowej marynarce, średniego wzrostu, krępy, z niewielkim brzuszkiem, wcale nie wygląda na Casanovę; łysiejący, powolny w ruchach, ma pospolitą, grubo ciosaną, nalaną twarz, duży nos i wypukłe szaroniebieskie oczy, które absolutnie nic nie wyrażają i tylko w chwili wzruszenia maluje się w nich coś ludzkiego, jak gdyby cień skruchy i cierpienie.

Zajmuje miejsce w ławie oskarżonych, ale nie siada, gdyż wie, że teraz jest głównym bohaterem i na stojąco będzie miał możliwość wzruszać sąd opowieścią o swoim złamanym życiu. Ma 51 lat, był nawet kiedyś dyrektorem dużych zakładów, lecz trudno ustalić czas dyktowania, albowiem bez przerwy ścigało go prawo, listy gończe i komunikaty prasowe, jak np. notatka z „Głosu Robotniczego” (1970 r.) pt. „Kogo oszukał?” Kolega z celi, inżynier z wykształcenia, który z niewiadomych pobudek wysłał do kobiety ostrzegawcze pisma „okólne”, nie bez racji określił go w jednym z listów, podpisanym nazwiskiem „Ariadna Puma M.” — „ten Paganini oszustwa”.

Kiedy lekarze psychiatrzy, pragnąc dobrze się do jego osobowości, sięgnęli do rejestru wyroków, stwierdzili ze zdumieniem, iż otrzymał w ciągu swej działalności wyrok ściany amerykańskiej, bo łącznie czterdzieści sześć lat więzienia, a więc powinien siedzieć już od piętego roku życia.

Niektóre wyroki były łączne, część kar mu darowano, część podlegało amnestii, lecz nie ma wątpliwości, że począwszy od roku 1945 Leon Henryk Niewiadomski dwadzieścia lat spędził w więzieniach, skazywany przez sądy w całym kraju: w Krakowie, Piotrkowie, Belchatowie, w Łodzi, Krapkowie, w Poznaniu i Koszalinie.

Dalszy ciąg na str. 3

Ryszard
Binkowski

Paganini
szalbier —
stwa

Kiedy przewodniczący jury XX Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu (26. V — 1. VI 1978) rektor Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie i kierownik artystyczny Teatru im. Słowackiego, Jerzy Krasowski odczytał werydykt w pięknym poklasztornym wnętrzu Muzeum Architektury, poczułem się człowiekiem wolnym.

Wolnym w dwójnasób. Po pierwsze spadł ze mnie ciężar obowiązków jurora. Obejrzenie w ciągu siedmiu dni osmiu spektakli konkursowych i dwóch prezentowanych poza konkursem, uczestnictwo w około dziesięciu posiedzeniach jury, uczestniczenie na sesji teatralnej, a to wszystko w 30-stopniowym upale, który w nieprzewidywalnym Wrocławiu daje się szczególnie we znaki — wszystko razem sumowało się w nielada harówkę. Po wtóre poczułem się wolny w sensie prawa do publicznego wypowiadania swoich sądów na temat festiwalu.

Jubileuszowy, dwudziesty festiwal wrocławski przyniósł więcej rozczarowań niż satysfakcji, należało do słabszych „edycji” tej imprezy. Nie mieliśmy kłopotów z nadmiarem kandydatów do nagród. Wręcz przeciwnie.

Przeglądam wyniki ubiegłorocznego, XIX festiwalu. Nagroda za inscenizację sztuki T. Różewicza „Śmierć w starych dekoracjach” dla Jerzego Grzegorzewskiego, za reżyserię „Rozmowy z katem” według K. Moczarskiego dla Andrzeja Walidy, nagrody aktorskie dla Zygmunta Hübnera, Andrzeja Łapickiego, Jerzego Stuhra, Jerzego Treli, Stanisława Zaczeka... Łącznie 8 nagród, 3 wyróżnienia i 1 wyróżnienie honorowe dla Teatru Ochoty.

Tegoroczne orzeczenie jury było w sposób wymowny krótsze: nagroda za reżyserię „Krawka” S. Mrożka w warszawskim Teatrze Współczesnym dla Erwina Axera, nagroda za rolę tytułową w tymże spektaklu dla Wiesława Michnikowskiego, nagroda za rolę drugoplanową dla Henryka Bisty w przedstawieniu „Czarny romans” Władysława Terleckiego (Teatr Wybrzeże w Gdańsku), wyróżnienie dla Krzysztofa Kąkolowskiego za scenariusz, widowiska „Co u pana słychać” (Teatr Popularny Warszawa), wyróżnienie dla Marcela Kochańczyka za reżyserię i scenografię do „Czarnego romansu” (Teatr Wybrzeże) oraz wyróżnienie dla Jerzego Janeczka za rolę Aleksandra Dołęzalka w „Co u pana słychać” (Teatr Popularny). Sumując — 3 nagrody i 3 wyróżnienia.

Festiwal otworzył Teatr Współczesny im. E. Wiercińskiego we Wrocławiu, prezentując prapremierowe przedstawienie sztuki Tymoteusza Karpowicza „Kiedy przychodzi anioł” w reżyserii Kazimierza Brauna. Teatr ten od lat współpracuje ściśle ze znanym

dramatopisarzem i poetą wrocławskim. Była to już ósma sztuka Karpowicza wystawiona przez Teatr Współczesny, przy czym siedmiokrotnie były to prapremiery polskie. Można by zatem relacje łączące teatr i pisarza uznać za wręcz wzorcowe i godne naśladowania.

Gorzej, że nowa sztuka Karpowicza, choć utrzymana w typowym dla tego autora klimacie surrealistycznym, nie dorównuje takim jego pozycjom jak: „Wracamy późno do domu”, „Zielone rękawice”, czy „Przerwa w podróży”. Zrezygnujmy z pomyślanej sytuacji wyjściowej, rozmyślamy o rozwoju akcji i pozostawiamy w efekcie zbyt duże niedosyty. Słabości te raczej podkreśliło przedstawienie.

Podobnie trudno uznać „Śłowika” za sztukę nawiązującą do szczytowych osiągnięć dramatycznych Ernesta Brylla. Poetycka parafraza bajki Andersena, wzbogacona o parę grymasów, mających być rzekomo śmiałą aluzją do współczesności, jest w swej treści waga, zbyt infantylna, jak na sztukę dla dorosłych, zbyt poważna dla widzów dziecięcych. Reżyser przedstawienia Jan

dała się nie najlepsza i środki artystyczne zastosowane dla jej przekazu zbyt historyczne.

Wielką machiną inscenizacyjną uruchomił Teatr Wybrzeże, realizując adaptację powieści Władysława Terleckiego „Czarny romans”, opartej na autentycznym wydarzeniu mającym miejsce w 1890 roku w Warszawie — zabójstwie aktorki Marii Wisniewskiej przez zamordowanego w niej do obłędu kornetę grodzieskiego pułku huzarów lejbgwardii, Aleksandra Barteniewa. Marcelowi Kochańczykowi, jednocześnie reżyserowi i scenografowi, udało się uzyskać płynny rytm przedstawienia, choć nie bez pewnych dłużyzn. Rangę spektaklu obniżyło chyba także niewłaściwe obsadzenie dwóch głównych ról.

Blędem było zakwalifikowanie do udziału w festiwalu nowego musicalu Jarosława Abramowa-Newerlego „Dno nieba” w wykonaniu Teatru Estrady „Buffo” z Warszawy. Ten „show-remizowy”, jak go określa sam autor, jednocześnie kompozytor muzyki, jest próbą ukazania typowej grupy chałturników grasujących w

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Wrocław po raz dwudziesty

Skotnicki, wystawiając je w dekoracjach Adama Kiliana i z muzyką Piotra Herłta, usiłował zamienić je w duże, barwne widowisko. O niepowodzeniu zdecydowało bardzo przeciętne aktorstwo (Teatr Ploki).

Teatr Dramatyczny m. st. Warszawy przedstawił nam komediofarę „Remont” pióra dwóch braci, znanych reżyserów filmowych, Andrzeja i Janusza Kondratiuków, w reżyserii drugiego z nich. Odznaczając się dowcipnym, zgrabnym dialogiem sztuką, zagrana została przez świetny kwartet aktorski: Danuta Szaflarska, Piotr Fronczewski, Ryszard Pietruski i Wojciech Pekora. Ta czwórka jest w stanie zagrać znakomicie nawet książkę telefoniczną. Szkoda, że sztuka Kondratiuków poza wspomnianą zgrabnością warsztatową nie się w sobie tak mało treści.

Dużym rozczarowaniem zakończyła się prezentacja niegranej dotąd sztuki Grzechowika (pozostała w papierach pośmiertnych autora) „Szalona Greta” (Dulle Griet). Przedstawił ją Teatr im. J. Kochanowskiego w Opolu w reżyserii Tomasza Zygadły. I sztuka wy-

tak zwanym terenie. Ramę stanowiła fabułka, resztę wypełniała składanka estradowa. Nieporozumieniem jest przy tym to, że czołowi wykonawcy — Alina Janowska, Rena Rolka i inni zapominają podczas wykonywania piosenek o konieczności utrzymania się w stylu persylla. Stąd świetne wykonawstwo staje w jawnej sprzeczności z założeniami sztuki.

Teatr Popularny z Warszawy zaprezentował w reżyserii Jerzego Demaradzkiego montaż świetnych reportaży Krzysztofa Kąkolowskiego, drukowanych w 1975 roku w „Literaturze”, na które złożyły się rozmowy przeprowadzone przez autora w Republice Federalnej Niemiec z byłymi zbrodniarzami wojennymi, a dziś cieszącymi się powszechnym szacunkiem u swego otoczenia obywateli. Widowisko zabrakło bardziej zdecydowanego klucza inscenizacyjnego, a aktorów jedynie J. Janeczki udało się stworzyć sugestywną postać.

Dalszy ciąg na str. 10

KONKURS SZTUKI LUDOWEJ REGIONU WIELUŃSKIEGO

W okresie od grudnia 1978 r. do końca kwietnia 1979 r. Muzeum Ziemi Wieluńskiej w Wieluniu wspólnie z cepełowską Spółdzielnią Pracy Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „Sztuka Ludowa” w Łodzi, Wydziałem Kultury i Sztuki w Sieradzu, Urzędem Miasta i Gminy Wieluń oraz Wieruszowskim Domem Kultury zorganizowało konkurs sztuki ludowej regionu wieluńskiego. Impreza przygotowana została w ramach obchodów 35-lecia PRL. Akcją konkursową objęto rozległy teren byłych powiatów: wieluńskiego, wieruszowskiego i pajęczańskiego, należący obecnie do czterech województw: sieradzkiego, kaliskiego, piotrkowskiego i częstochowskiego. Wzięło w niej udział 40 osób, które wykonały ponad 300 prac.

Wyjątkowo udane okazały się różnorodne wyroby kowalskie (zawiasy, tasaki, ozdobne bramki, kratki, zasieki, okucia wozu itd.). Z dużym kunsztem wykonano przedmioty plecione z korney sosnowych. Pozytywnym zjawiskiem tegorocznego konkursu był szczególnie liczny udział rzeźbiarzy — 11 autorów; w liczbie tej siedmiu uczestniczyło po raz pierwszy w podobnej imprezie.

Pewnym novum konkursu była próba adaptacji wzornictwa wieluńskiego haftu czepcowego do współczesnych form użytkowych (obrusy, serwetki, bieżniki itd.).

Przyznano następujące nagrody w poszczególnych dziedzinach sztuki:

— za rzeźbę w drewnie II nagrodę otrzymali: Antoni Chłód z Ożarowa, Eugeniusz Dzieciol z Mąreży, Wiesław Janiak z Wielunia, III nagrodę otrzymali: Józef Rosiński z Kątów Czarńskich, Henryk Hernant z Wielunia;

— za wyroby kowalskie I nagrodę otrzymał: Ignacy Łytko z Dzierżni, Stanisław Krawczyk z Gaszyna, Ignacy Krawczyk z Wierzbia, II nagrodę przyznano Wacławowi Wiśniewskiemu z Rychłocic;

— za wyroby plecionkarskie I nagrodę otrzymał Stanisław Olejnik z Okalewa;

— za wyroby samodziłowe I nagrodę otrzymał: Józef Kruk z Lipnika, Helena Synowiec z Drobnic, III nagrodę przyznano Antoninie Pazera z Kuźnicy;

— za wyroby hafciarskie i koronkarskie I nagrodę otrzymała Maria Pindor z Wielunia, II nagrodę otrzymała: Stefania Krysińska z Lututowa, Zofia Ulfik z Ożarowa, Krystyna Hombek z Praszki, Maria Pindor z Sokolnik, Barbara Majchowska z Sokolnik, Adela Karczewska z Rudy, III nagrodę otrzymała Helena Pokorska ze Strójca.

Ponadto jury przyznało ogółem 12 wyróżnień.

Początek czerwca stał pod znakiem dzieci. Między innymi w łódzkim Muzeum Sztuki otwarto wystawę twórczości dziecięcej, będącą wynikiem III Ogólnopolskiego Konkursu Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży, którego hasłem wywoławczym była w tym roku „Moja przygoda w Muzeum”. W łódzkiej edycji konkursu uczestniczyło 15 szkół oraz Pracownia Rysunku i Malarstwa Pałacu Młodzieży. Jury przyznało łącznie 18 nagród i wyróżnień, a na wystawie trafiło 59 prac.

W niespełna rok od zawiązania społecznego komitetu budowy „Wioski dziecięcej”, staraniem 24 instytucji, zakładów pracy, młodzieży — przekazano już gotowy obiekt baluckim dzieciom. W uroczystości wzięli udział sekretarz KŁ PZPR K. Kwiatkowski.

W Miejskiej Bibliotece Publicznej czynna jest ciekawa ekspozycja pn. „Z książką dziecięcą przez kraje i lata”; zakończono też wojewódzkie eliminacje konkursu czytelniczego pod hasłem „Przyjaciele naszego dzieciństwa”.

W pierwszym tygodniu czerwca odbyło się wiele innych imprez dla dzieci: występów artystycznych, festynów, konkursów, kiermaszy, a nawet pokazów mody, organizowanych przez łódzkie zakłady pracy, a także m. in. przez redakcję „Expressu Ilustrowanego” (w Parku Rozrywki na Widzewie). Dużą inwencję wykaźał też Społeczny Dom Kultury „Lokator” przy ul. Nowopolskiej, organizując dziecięcą giełdę kolekcjonera, połączoną z aukcją rysunkowych prac młodych talentów.

3 czerwca był dniem obchodów Święta Ludowego. Wojewódzkie uroczystości odbyły się tym razem w Strykowie. W ich programie znalazły się m. in. — przegląd filmów łódzkiej WFO, występy kapeli „Górniak” i orkiestry ZSE w Łodzi oraz 21 innych zespołów amatorskich z Górnej, a także kiermasz i giełda książek.

Zakończył się tradycyjny „Jarmark Łódzki”, którego inicjatorem był (po raz ósmy) „Dziennik Popularny”. Mimo handlowego oblicza imprezy, nie zapomniano o atrakcjach kulturalno-rozrywkowych. Występowały na otwartych estradach teatry lalek „Arlekin” i „Pinokio”. odbyły się: aukcja kukiełek i przegląd filmów animowanych, otwarto nawet mały lunapark.

W zabytkowym, dawnym domu mieszkalnym w Zgierzu otwarto miejskie muzeum. Pierwszą ekspozycją poświęconą rozwojowi włókiennictwa w tym mieście w XIX wieku stała się najważniejszym wydarzeniem kulturalnym w ramach odbywających się od 1 do 3 czerwca „Dni Zgierza”. Spośród wielu innych imprez, warto wymienić: wystawę pokonkursową „Tendencje w sztuce amatorskiej” i spotkanie Koła Miłośców Twórców w Spółdzielczym Domu Kultury „SEM”, etudę literacko-teatralną w wykonaniu członków Klubu ZNP, recital Sławy Przybylskiej, projekcję bajek filmowych i paradę orkiestry.

W Fabryce Dywanów „Dywilan” odbyła się — zorganizowana w ramach Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy przez Urząd Dzielnicy Łódź-Górna, LR Związków Zawodowych i kierownictwo fabryki — sesja poświęcona problemom rozwoju sztuki pracy z kulturą i sztuką. Referaty wygłosili: doc. dr B. Gołębiowski (nt. genety i współczesnych procesów rozwojowych kultury robotniczej) i M. Falkowska (o Robotniczym Centrum Kultury w Mielsku). Sesji towarzyszyły imprezy artystyczne: otwarcie wystawy „Łódź 1945-79” w perspektywie malarstwa, recital Jana Pietrzaka, spektakl studentów PWSFTiTu oraz pokaz projektów absolwentów PWSSP.

Przełom maja i czerwca przyniósł wiele nagród łodzianom — w dziedzinie kultury i sztuki. O niektórych już informowaliśmy. Dziś dodajemy, że wśród nagrodzonych na Ogólnopolskim Festiwalu Filmowym w Krakowie znaleźli się również twórcy związani z Łodzią: M. Kijowicz („Semafor”) — Brazyjowy Lajkonik w dziele animacji za film „AB” i G. Kędzielawska (WFO — Brazyjowy Lajkonik w dziedzinie filmu oświatowego za film „Michał”).

Natomiast na XI Krajowym Festiwalu Pieśni o Ojczyźnie triumfował chór Uniwersytetu Łódzkiego kierowany przez Henryka Blachę. Zajął on 2 miejsce wśród 43 zespołów oraz uzyskał nagrodę akredytowanych przy festiwalu dziennikarzy (za najbardziej artystycznie dojrzały i doskonale przygotowany program konkursowy). Przypomnijmy, że łódzki chór obchodził w tym roku swoje 5-lecie.

Miła wiadomość nadeszła również z Zielonej Góry, gdzie w finale VI Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki i Tańca „Barwy Przyjaźni”, wśród 32 zespołów występował Dziecięcy Zespół Tańca Ludowego przy ZDK im. Harnama w Łodzi. Kierowany przez K. Sitkowskiego i S. Mazurkiewicz „Mały Harnam”, zdobył puchar, medal oraz specjalną nagrodę ufundowaną przez reżysera Ryszarda Kubiaka. Gratulujemy.

Dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego Piotr Sagan, redaktor naczelny „Expressu Ilustrowanego” Krzysztof Pogorzelec i dyrektor łódzkiego PUPiK „Ruch” Adam Jędrzejczyk, a także kierownictwo łódzkiego Prasowych Zakładów Graficznych znaleźli się na liście tegorocznych laureatów nagród Prezesa ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Z tej okazji łódzkie laureatów przyjął sekretarz KŁ PZPR Genowefa Adamczewska.

Natomiast na liście laureatów tegorocznych nagród przewodniczącego Komitetu Radia i Telewizji znaleźli się dwaj inni łodzianie: autorzy cyklu widowisk telewizyjnych „Polska pieśń żołnierska” — reż. Tadeusz Woronkiewicz i redaktor Stanisław Gerstenkorn z LOTV.

31 maja był w Pabianicach obchodzony, jako Dzień Działacza Kultury. Z udziałem władz

KRONIKA KULTURALNA

miasta wręczono 8 osobom listy gratulacyjne i nagrody przyznane przez Wydział Kultury i Sztuki UM w Łodzi, a 20 — listy gratulacyjne i nagrody prezydenta m. Pabianic.

Z okazji 30-lecia PP „Estrada Łódzka” sekretarz KŁ PZPR Genowefa Adamczewska przyjął kierownictwo i przedstawicieli łódzkiego środowiska estradowego. Określone zostały m. in. zasady i kierunki działania estrady w łódzkim województwie miejskim, w tym również współpracy ze wszystkimi środowiskami twórczymi.

Czerwiec w łódzkich teatrach... Z podróży artystycznej do Jugosławii powrócił Teatr Lalek „Arlekin” (sztukę Jana Wilkowskiego „Ula z I B” pokazywał on w Bośni, Hercegowinie, Chorwacji, a także — podczas powrotu — w Szegedzie — w czasie Dni Kultury Polskiej). Z kolei w Łodzi gościł — ze sztuką „Legenda” M. Krleży — jugosłowiański Teatr Ludowy z Zenicy, od ponad 10 lat współpracujący z Teatrem Jaracza.

W Teatrze Jaracza odbyła się też najnowsza premiera — tryptyku S. Mrożka „Serenada”, „Lis Aspirant” i „Polowanie na lisa” w wyborze i reżyserii M. Grabowskiego.

Próby nad światową prapremierą operetki „Boss” Igo Hofstettera trwają w Teatrze Muzycznym. Prowadzi je inscenizator i reżyser H. Mozer, a kierownictwo muzyczne sprawuje B. Pawelec (premiera — 22 bm.). Tymczasem w Teatrze Powszechnym schodzi z afisza „Lot nad kukułczym gniazdem w reż. Lidi Zankow (w czerwcu odbędzie się 5 ostatnich przedstawień).

W Teatrze Nowym rozstrzygnięto konkurs pn. „Teatr Nowy — naszym teatrem”, w którym wzięło udział 30 grup z 29 szkół ponadpodstawowych województwa nadsyłając wiele interesujących prac (recenzji, esejów, kronik, foto-reportaży). Trzy I nagrody otrzymały: XXX LO im. J. Krasickiego, XV LO im. J. Kasprzowicza oraz Zespół Szkół Mechanicznych nr 1. Jednocześnie otwarto wystawę pn. „Teatr Nowy i młodzież”.

W Piotrkowie zakończył się kolejny Centralny Przegląd Teatrów Publicystycznych. Brało w nim udział 6 teatrów. Jury pod kier. Jana Skotnickiego oceniło najwyższe Teatr „Blik” z województwa koszalińskiego. Wyróżniono zaś Teatr „Gibbon” z MDK w Warszawie, Teatr Faktu Politycznego z Zabrze, oraz — indywidualnie E. Różbicką z Teatru Małych Form przy WDK w Cichanowie za wyniki w pracy nad kulturą słowa. Podczas przeglądu odbyło się również seminarium poświęcone aktualnym problemom teatru publicystycznego.

Ożywiło się życie teatralne Sieradza. Stałymi gośćmi są — po otwarciu miejskiej sceny — Teatr im. Bogusławskiego z Kalisza i Teatr Ziemi Łódzkiej. Ostatnio z interesującą propozycją wystąpili członkowie Sieradzkiego Klubu Artystycznego „Rubikon”, prezentując pod wodzą prezesa P. Manyczka spektakl wg E. Brylla, do muzyki K. Gärtnera „Zagrabie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony”, ze scenografią K. Farbisza i w opracowaniu muzycznym E. Marciniaka.

Jeszcze w tym roku zamierza się otworzyć w Łodzi specjalistyczną Bibliotekę Muzyczną. Będzie w niej można wypożyczyć książki, nuty, wystęchać wybranych utworów muzycznych, a także utrwać je na magnetofonie. Pracownia fotoreprodukcyjna wykonywać będzie — na życzenie czytelników — kopie druków, natomiast inna pracownia zajmie się konserwacją aparatów. W pomieszczeniu „głośnego odsłuchu” będzie można słuchać nagrań systemem „quadro”, a w sali koncertowej wyświetlane będą filmy muzyczne i wygłaszane prelekcje, ilustrowane muzyką. Biblioteka znajdzie miejsce na I p. wieżowca przy ulicy Głównej 5 — w SDM (na powierzchni około 750 metrów kwadratowych).

Przez 10 dni trwały w Łowiczu IX Dni Muzyki. Odbywały się one również w Nieborowie, Skłerniewicach, Żyrardowie i Rawie Maz. W programie Dni znalazły się zarówno utwory kompozytorów związanych z Łowiczem, jak i twórców muzyki klasycznej oraz współczesnej. W sumie koncertowało 5 czołowych polskich zespołów. Koncertom towarzyszyły prelekcje.

Interesująco prezentuje się w tym miesiącu program koncertowy łódzkiej filharmonii. 7 czerwca występował tu najwybitniejszy obok Segovii gitarzysta współczesny — Alfonso Moreno, zaś — 8 i 9 czerwca pod batutą Tadeusza Strugala i przy akompaniamentach orkiestry PFL koncertował Piotr Paleczny.

Gośćmi Wydawnictwa Łódzkiego („Biblioteka Jugosłowiańska”) byli ostatnio: Ljubomir Cvijetic, poeta, dyrektor Wydawnictwa „Veselina Maslesy” (Sarajewo) i przedstawiciel wydawnictwa „Nasa Knjiga (Skopje) — Evtim Mancev.

Rozmowy z dyrektorem WL, Jackiem Zaorskim, dotyczyły dalszej współpracy; jej owocem będą kolejne publikacje książkowe w Jugosławii i Polsce.

odgłosy

Zadaje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARSIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYŃSKI (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRACZYNA SZYPOWSKA (redaktorzy techniczni) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁĄŻEWSKI, TADEUSZ CHROCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

TRZYSTA RAZY SZCZĘŚCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Jest zakładem na wskroś nowoczesnym, można powiedzieć: luksusowym, sam pan widział: boazerie, klimatyzacja, stolówka, zaplecze sanitarne, jak w hotelu... Ale z owym miejscem nie było łatwo i kiedy przyglądałam się pomieszczeniom magazynowym, które postanowiłszy zaadaptować do naszych celów, drażyły mnie wątpliwości.

Tak czy owak podjęto próby przeistoczenia magazynu w przytulną halę produkcyjną, konsekwentnie trzymając się ambitnych ustaleń co do profilu i wyposażenia oddziału.

Udało się!
Przemaalowano ściany, dobudowano sufit; z dużą rezerwą, perspektywicznie, wygospodarowano dziewięćdziesiąt stanowisk roboczych (aczkolwiek w ciąży było wówczas tylko sześćdziesiąt kobiet), postanowiono, że praca na tym oddziale będzie wyłącznie dwuzmianowa i że będzie się zaczynać piętnaście minut później, niż na innych wydziałach, tak, aby przyszłe matki mogły uniknąć tłoku w tramwajach i autobusach (ktoś myśli!), postanowiono także, iż powierzchnia produkcyjna, przypadająca na jedną zatrudnioną, musi wynosić co najmniej 2,6 m kw. Temperatura — 23—24 stop. C, wilgotność — 40 proc., ruch powietrza — 0,04, oświetlenie — 700 lx; osobny węzeł sanitarny, własne kabiny natryskowe i jadalnia z lodówką, wydzielony pokój higieniczny, w którym odbywają się również, prowadzone przez wykwalifikowaną pielęgniarkę, (panią Marię Polak, zatrudnioną na pełnym etacie) pogadanki i lekcje poglądowe z zakresu higieny dziecka, przebiegu ciąży i porodu, do którego każda z pracownic jest starannie, teoretycznie, fizycznie i psychicznie przygotowana. Kwiaty, wentylatory, obszerne drzwi (teraz, wiosną i latem, otwarte) z widokiem na zieleń dziedzińca; radiofonizacja; pomieszczenia do wykonywania gimnastyki rekreacyjnej (drabinki, ławy, materace), jednym słowem, ktoś powie z ironią, nie fabryka, a szpital położniczy...

Niel
Przyszłe matki pracują. I to dużo efektywniej, niżby robiły to w tym specyficznym stanie na swoich zwykłych oddziałach. A co podoba mi się

najwięcej — ich praca również jest związana ze zbliżającą się chwilą macierzyństwa, szyją bowiem poszukiwaną na rynku konfekcję dziecięcą.

Obejrzałem kilkanaście sztuk tych filigranowych, ładnych i starannie wykonanych ubiorów: czapeczek, koszulek, bluzek. Najbardziej wymagający i kapryśni rodzice kupiliby to w sklepie bez wahania. Tylko... gdzie tego szukać? Na Jarmarku Łódzkim podobno.

Pytam:
— Jaka jest produkcja roczna?
Odpowiedź, której się bałem, brzmi jednak poważnie:
— Czterdzieści tysięcy sztuk.
— Zadowolona to dyrekcja zakładu?
— Biorąc pod uwagę wszelkie inne, pozamaterialne korzyści, zadowolona — mówi Jan Otto, przewodniczący Rady Zakładowej. — Dzięki oddziałowi pracy chronionej mamy duży odzysk surowca, który normalnie zostałby sprzedany za bezcen, albo w ogóle poszedł

nych pracownic w sukcesy produkcyjne „Olimpii”.

2.

W porozumieniu z Zakładową Służbą Zdrowia przy przenoszeniu kobiet ciężarnych na Oddział Pracy Chronionej zastosowano następujące kryteria:

Od szóstego miesiąca ciąży, bez względu na rodzaj wykonywanej pracy, kieruje się tam wszystkie kobiety.

Jeśli chodzi o oddziały, w których występuje nasilenie środków toksycznych (takich na przykład, jak Barwiarnia), ciężarne pracownice przechodzą stamtąd na Oddział Pracy Chronionej już w momencie stwierdzenia ciąży.

Przechodzą tam również, momentalnie, wszystkie kobiety z przeciwwskazaniami pracy trzymianowej — kobiety, które pracują w warunkach uciążliwych, kobiety słabe fizycznie oraz kobiety, których ciąża, według

dukcyjne, nie mówiąc o kilku piętnastominutowych przerwach w pracy (poza gimnastyką i pogadankami), nie wspominając, iż kobieta, która w czasie pracy poczuje się źle, jest natychmiast kierowana przez majstra do pokoju higienicznego, gdzie może odpocząć na leżance.

Rozmawiam z dwiema pracownicami oddziału, które wkrótce zostaną szczęśliwymi matkami.

Jolanta Czaplińska mówi, iż z chwilą przejścia na ten oddział, przestała się po prostu bać. To będzie dopiero jej pierwsze dziecko, ale dzięki ćwiczeniom i pogadankom oraz trosce, jaką wyczuwa się na każdym kroku, przestała bać się porodu.

To samo mniej więcej mówi jej koleżanka, Krystyna Sztaudera, która przeszła tutaj z konfekcji i w związku z zaawansowanym stanem liczy dosłownie dni. Może za tydzień, może trochę później... Ale czuje się dobrze, jest spokojna, wierzy, że jej pierwsze dziecko urodzi się zdrowe.

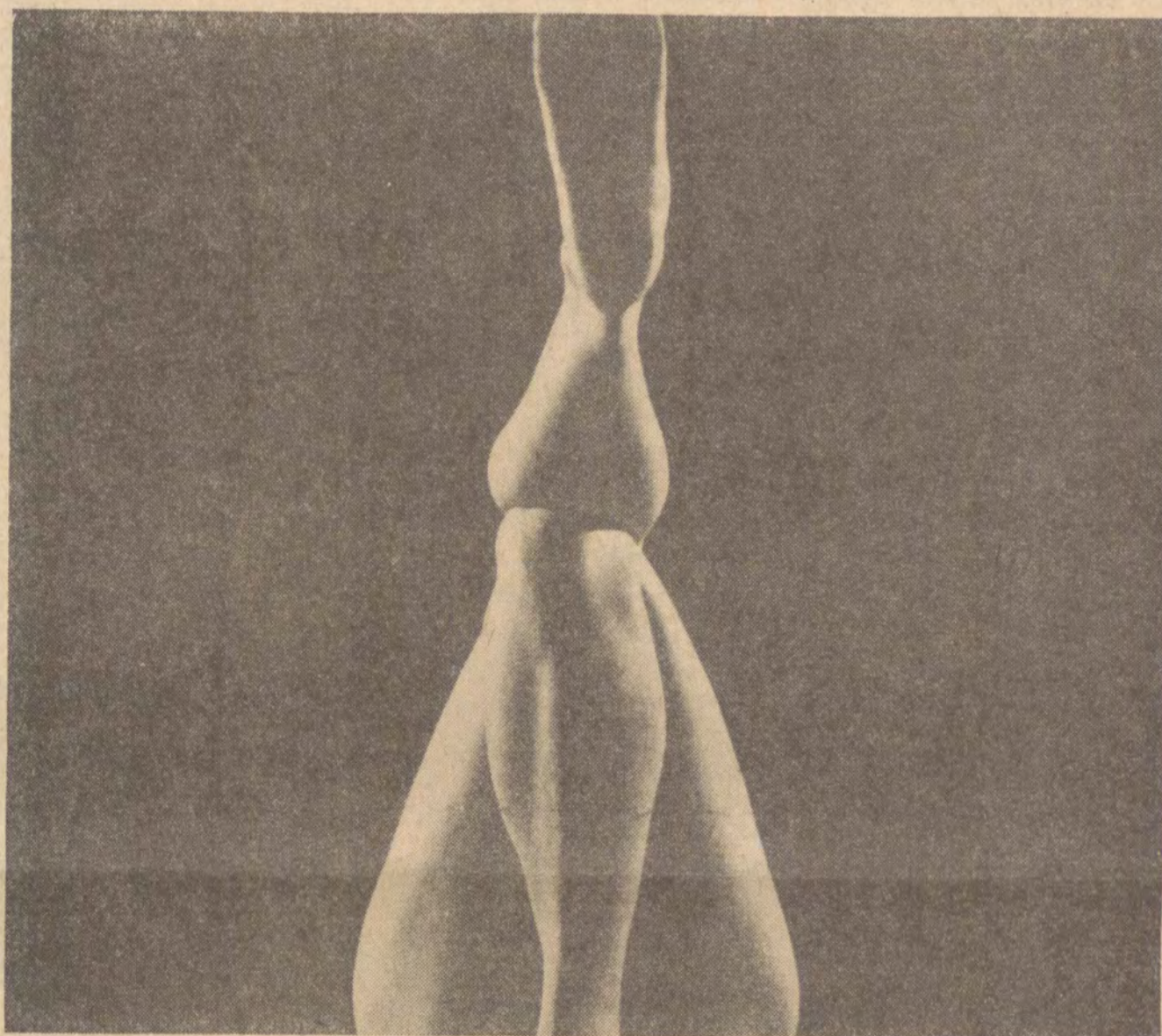


Foto: M. Sowiński

na straty. Proszę pamiętać, że oddział pracy chronionej produkuje to wszystko z odpadów.

— A w sytuacjach krytycznych, kiedy mamy zagrożenia planu, oddział przyjmuje często na siebie obowiązki dokonania prac wykończonych „dorosłej” konfekcji — wtrąca Irena Krzywdzińska. — Jest to dodatkowy wkład naszych ciężar-

wskazań Zakładowej Służby Zdrowia, przebiega w sposób patologiczny.

Trzeba pamiętać, że proces produkcyjny „Olimpii” związany jest przede wszystkim z pracą przy maszynach, w huku, w ruchu, w pozycji stojącej. Natomiast Oddział Pracy Chronionej zapewnia wszystkim zatrudnionym siedzące stanowiska pro-

Doktor Urszula Neskromna (ginekolog, długoletni pracownik Przemysłowej Służby Zdrowia), której doskonale wyposażony gabinet mieści się w innej części zakładu, często wizytuje oddział.

Mówi:
— Ważne, że mam je wszystkie pod ręką, i że znam je wszystkie z imienia, nazwiska, stanu zdrowia.

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Niektóre badam piętnaście razy w czasie trwania ciąży, ale jeśli są jakieś powikłania, jeśli zachodzi konieczność — to nawet trzydzieści...

Stających, niemal codziennych kontaktów z ginekologiem oraz opieki wykwalifikowanej pielęgniarki, nie sposób przecenić. Kobiety wiedzą, jak pracować (zmniejszyła się zresztą, z chwilą powołania oddziału, absencja chorobowa), jak odpoczywać i co jeść w danym okresie, dzięki czemu ilość zatruc ciążowych, którym gdzie indziej ulega około 25 proc. kobiet, zredukowano w „Olimpii” do zera.

Właściwy tryb życia i stosowne odżywianie przyniosły z kolei efekty w zakresie wagi przychodzących na świat noworodków. Przykład: Od chwili powołania oddziału, zatrudnione tu pracownice „Olimpii” urodziły 298 dzieci, z czego 13 procent miało wagę od 2,5 do 3 kilogramów, zaś 85 procent od 3 do 4,5 kilograma. Prawidłowa waga ma ogromny wpływ na rozwój dziecka.

W najbliższych dniach oddział spodziewa się urodzin trzechsetnego dziecka, przy czym kierownictwo przygotowuje upominki (wyprawkę) również dla dwięście dziewięćdziesiątego dziewiątego i trzysta pierwszego.

26 maja 1979 roku, z okazji Dnia Matki, zaproszono także na małą uroczystość kobiety, które pracowały na tym oddziale, rodząc pierwsze, setne i dwusetne dziecko.

Oddział rozstraja imię „Olimpii” nie mniej, niż estetyczne wyroby. Daje również dobry przykład innym zakładom, które tworzą Oddziały Pracy Chronionej na swoim terenie. Warto zaznaczyć, że Łódź w tej dziedzinie jest nie tylko prekursorem, ale także potentatem. Na 41 oddziałów pracy chronionej w Polsce, 30 znajduje się w łódzkim województwie miejskim. Oddział „Olimpii” pomaga je organizować na terenie miasta i kraju, służy radą, dzieli się doświadczeniem. Idea znalazła sobie szerokie uznanie i jest tendencja, aby propagować ją w całym kraju.

— Przyjeżdżają nieraz delegacje zagraniczne — mówi z dumą Jan Otto. — I nie tylko z krajów demokracji ludowej, także z wysoko rozwiniętych państw kapitalistycznych. Mogę z ręką na sercu powiedzieć, że nasz oddział wprawia gości w nieklamany zachwyt. Anglicy wdychali: Żeby zrobić coś takiego w naszych fabrykach.

Jestem przeciwnikiem hurra- optymizmu, nie lubię pisać laurów, to, jednakże, co się dzieje w „Olimpii”, wykracza daleko poza sferę ogólników i zasługuje na wielką pochwałę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 1

Pod obstrzałem wnikliwych pytań Sądu, a potem biegłych lekarzy psychiatrów, którzy drą dociekliwie przeszłość, aby tam znaleźć motywy postępowania oskarżonego, powoli wyłania się obraz człowieka, którego modus operandi ten sam kolega z celi ujął w formę potępyckiego porównania, stwierdzając między innymi, że „działa on w duchu Fiodora Dostojewskiego, czyli na zagrywkach psychologicznych”, i że poprzez podstawionych figurantów zamiesz-

że kiedy wybuchła wojna, był w piątej klasie szkoły powszechnej, a w czasie okupacji ukończył szkołę na tajnych kompletach u profesora, który uczył wszystkich przedmiotów.

Potem siedział w Radogoszczu i w obozie dla dzieci przy ulicy Przemysłowej, a 18 stycznia 1945 roku rozwalili drewnianą bramę i on, z wyjątkiem wiek o dwa lata, poszedł prosto do wojska, walczył w szeregach I Armii WP i zdobywał Cytadę w Poznaniu, gdzie został kontuzjowany i przysypany ziemią.

Sumienny uczeń szkoły podstawowej powinien wiedzieć, że I Armia nie wyzwalała Poznania. Niewiadomski ukończył wyższe studia.

— Wtedy nie mogło być nieświadomych. Przez pięć lat siedziałem w Wronkach i w Koronowie. Bo ja należałem do Narodowej Organizacji Wojskowej...

— Panie, jestem w pańskim wieku! — przerywa mu psychiatra. — Taka organizacja nie istniała wówczas.

— To za co mnie skazano?

Zajrzałem do rejestru i na samym początku znalazłem informację, iż Niewiadomski sądzony był w Koszalinie za dokonany 13 listopada 1945 roku napad rabunkowy, a w dwa tygodnie później za napady z bronią w ręku. W rejestrze, obok oszustw matrymonialnych, są wyroki za kradzież, podrabianie dokumentów, wymuszenia, wyłudzenia i bigamie.

Rozwiedziony, bezdzietny, wieloletni recydywista. W 1953 roku ukończył trzyletnią szkołę handlową, a potem, w roku 1956, studia ekonomiczne I stopnia w Częstochowie, gdzie mieszła się filia krakowskiej WSE. Posiadał odpis dyplomu i z niego robił kolejne odpisy, kiedy chciał podjąć pracę. Pracował w biurze Kolejowych Zakładów Gastronomicznych, gdzie robił rozliczenia finansowe i towarowe, ale nie ma pojęcia, co podliczał.

Jego wykształcenie ekonomiczne zaczyna budzić wątpliwości. Czy po trzyletniej szkole handlowej mógł dostać się na studia? Sąd stanawia się, czy oskarżony mógł ukończyć te studia w latach 1954-56, ale on zapewnia, że tak. Sąd zwraca mu uwagę, że w 1953 roku dostał rok i 10 miesięcy odsiadki, a w 1954 łącznie trzy lata i cztery miesiące pozbawienia wolności.

— To musi być jakaś pomyłka w latach — stwierdza Niewiadomski.

— A wie pan, za co pan wtedy siedział? — pyta psychiatra.

Nie pamięta. Wie tylko, że w tym czasie ożenił się, był szczęśliwy, ale pewnego dnia ogarnęło go szaleństwo, rzucił dom i żonę i ruszył w Polskę. Później wyjaśni, że na pewno siedział szluznie. A teraz? Też szluznie. Za co? Za oszustwo. W nomenklaturze prawniczej jest oblatany. Jako ekonomista nie potrafi wyjaśnić różnicy między oszustwem, a wyłudzeniem.

Najwyższa pora zająć się jego urzędami ostatnimi ofiarami. Zanim to nastąpi, on odszuka oczyma na sali matkę, siew staruszkę o zamkniętej, nieruchomej, pełnej cierpienia twarzy i poprosi, aby przekazała Sądowi jeszcze jeden dokument, którym jest wycięta z gazety notatka. Jest tam wymienione jego nazwisko. Zaskoczony, odznaczony, honorowy dawca krwi...

„Samotny, lat 46, wzrost 170 cm, z wyższym wykształceniem, pozna samotną wdowę w celu matrymonialnym. Dziecko mile widziane”. Złapała się na to Marianna W., dziś kobieta 52-letnia, właścicielka zakładu krawieckiego. Niewiadomski mówi, że poznał ją jesienią 1976 roku, ale nie mieszkali razem, był u niej trzy razy. Owszem, chciał jechać z Marianną na wycieczkę do ZSRR, bo sądził, że w podróży lepiej się poznają, ale ona nie miała 18 tysięcy zł, więc dała mu tylko 8 tys. i kazala samemu jechać. Kiedy przekonał się, że ze względu na karalność nie będzie mógł wyjechać, przegrał wszystko w totolotka.

Marianna W., pięknie odmalowana tleniona blondynka, nos zagięty, pierś do przodu, wchodzi sztywno na wysokich białych słup-

PAGANINI SZALBIERSTWA

cza w prasie krajowej bardzo korzystne oferty matrymonialne (oskarżony twierdzi, że nie może mieć dzieci i dlatego w jego ofertach znajdował się zawsze wtręt „dziecko mile widziane” — przyp. R. B.), dzięki którym dopada naiwne ofiary, po czym „smyczkuje” na niekorzyść bogatych kobiet i „żyje z nich jak robak z jabłka”.

Biorąc pod uwagę niezbyt atrakcyjną aparycję podstarzałego uwodziciela, należy sądzić, iż w zdobywaniu kobiet musiałby mu pomagać nienaganne maniery dżentelmena i szczególne walory jego „smyczka”.

Wywodzi się z rodziny robotniczej. Twierdzi,

— I co było potem?

— W listopadzie 1945 roku byłem sądzony wraz z grupą oficerów i skazany na 10 lat za próbę obalenia przemocą ustroju.

— A jaki pan miał stopień wojskowy?

— Szeregowca.

— To czemu sądzono pana wraz z oficerami?

— Bo pracowałem w sztabie jako kancelista i podstępnie wciągnięto mnie do organizacji podziemnej. Jeden z oficerów polecał mi kopiować tajne dokumenty.

— Działal pan nieświadomie, za cóż więc taki wyrok?

Dalszy ciąg na str. 4-5

ODGŁOSY 3

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„MAGISTER PRZEPISUJE NA MASZYNIE...”

W 1980 roku — jak wskazują prognozy — w gospodarce narodowej będzie pracowało 9 milionów osób z wykształceniem wyższym od podstawowego, a wśród nich więcej niż milion absolwentów wyższych uczelni, 4 miliony osób z wykształceniem średnim, 4,2 miliona osób z wykształceniem zasadniczym zawodowym. Prasa codzienna podaje wiadomość, że w 1979 roku wydany zostanie milionowy dyplom wyższej uczelni.

Należałoby się z tego cieszyć, gdyż taka liczba ludzi przygotowanych zawodowo dobrze świadczy nie tylko o funkcjonowaniu ciągle „reformowanego” systemu oświaty, ale i gwarantuje prawidłowy rozwój gospodarki i społeczeństwa. A przecież jakoś radości nie widać. Przeciwnie. Wielu jednogłośnie stwierdza, że obniżył się poziom szkolnictwa, co będzie niewątpliwie miało niekorzystny wpływ tak na funkcjonowanie gospodarki, jak i na rozwój kultury.

Trwa dyskusja nad tym, jak kształcić. Postuluje się rezygnację z obecnego „systemu rekrutacji na studia wyższe” stwierdzając, że bez słuszności przecież, że system ten jest niedoskonały, nie wszystkim zdolnym otwiera drogę do studiów wyższych, rodzi nieprawidłowości i frustracje. Dla dobra rozwoju kultury i życia społecznego byłoby wskazane, aby otworzyć szeroko bramy wyższych uczelni tym wszystkim, którzy zdali maturę i chcą studiować. Selekcja, niejako w sposób naturalny dokonywała się w rękach studiów, a głównie na pierwszym roku. Oponenci uważają jednak, że takie rozwiązanie prowadziłoby nieuchronnie do dalszego obniżenia poziomu kształcenia.

Stworzenie wszystkim absolwentom szkoły średniej warunków dalszego kształcenia się zgodnie z ich zamiłowaniem i zdolnościami nieści się w społecznym celu, do jakiego zmierzamy. Mieści się to w zadaniu „stworzenia możliwości wszechstronnego rozwoju każdej jednostki” jakiego sobie stawiamy i jaki zamierzamy zrealizować mimo występujących różnorakich trudności i zahamowań. Jest to bowiem historyczna konieczność, wynikająca z drogi rozwoju społecznego, jaką obraliśmy przed 35 laty. Ale, czy już dziś jesteśmy w stanie stworzyć takie warunki, aby każdy mógł swobodnie realizować swoje zamierzenia i kształcić się tylko i wyłącznie dla zaspokojenia swoich wewnętrznych potrzeb?

W Lublinie na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS wisi ogłoszenie następującej treści: — jak to podaje „Życie Gospodarcze”:

„Magister przepisuje na maszynie prace magisterskie...”.
„Życie Gospodarcze” komentuje ten fakt następująco:
„Studenti zyskują w ten sposób zachętę do ubiegania się o tytuł magistra”.

Nie jest to wszakże argument w dyskusji, czy my już mamy „nadprodukcję inteligencji”, czy dopiero do tego zmierzamy. Jeśli bowiem rację mają ci, którzy twierdzą, że wielu magistrów różnych kierunków humanistyki bezskutecznie błąka się w poszukiwaniu pracy, to jednocześnie rację mają i ci, którzy mówią, że na tych samych magistrów praca czeka tylko w innym miejscu.

W tym roku do pracy przystąpi około 470 tysięcy absolwentów różnych typów i stopni szkół, z tego 410 tysięcy absolwentów podejmie pracę w gospodarce usługowej, a reszta w rzemiośle, usługach, spółdzielczości. Ale tylko część absolwentów znajdzie pracę w miejscu, gdzie się uczy lub mieszka. Inni będą musieli pójść do pracy tam, gdzie praca na nich czeka, ale trudno powiedzieć, czy będą chcieli.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że praca najczęściej czeka poza dużymi ośrodkami miejskimi, przede wszystkim w młodych województwach, a także na wsi. W Jeleniogórskim na przykład, na tysiąc zatrudnionych, 37 osób posiada dyplom wyższej uczelni, a średnia krajowa wynosi 70 osób po studiach wyższych. W województwie chełmskim czy tarnowskim jest pod tym względem nieco lepiej, bo w chełmskim jest na tysiąc pracujących 42 osoby z wyższym wykształceniem, a w tarnowskim — 52. Ale już w pilskim jest podobnie jak w Jeleniej Górze. A to przecież tylko obraz częściowy potrzeb. Z tego też względu wydawałoby się, że trzeba kształcić jak najwięcej ludzi na studiach wyższych, bo gospodarka potrzebuje dobrze przygotowanych specjalistów. Im więc więcej będziemy ich kształcić, tym więcej będzie trafiało do pracy tam, gdzie ich się oczekuje.

Ale z drugiej strony wiadomo, że niektórzy wolą nie wykorzystywać nabytej na studiach wiedzy, aby tylko nie iść do młodego województwa, aby tylko nie znaleźć się na wsi. Wiadomo na przykład, że co drugi inżynier rolnik wcale nie na roli wykorzystuje swoje umiejętności. Wiadomo, że na wsi brakuje lekarzy, ekonomistów, humanistów. Już nawet telewizja wzięła się za pośrednictwo pracy, usługach zachęcać młodych, aby szli tam, gdzie praca ich szuka, a nie szukali pracy tam, gdzie jej nie ma.

Młodzi ludzie wybierając się na studia nie kierują się na ogół ani potrzebami gospodarki, ani możliwościami przyszłego znalezienia pracy. Decydują tu najczęściej mody i ambicje. A kiedy później przyjdzie dokonać wyboru, to chętniej idą do pracy w administracji niż w produkcji, choć kwalifikacje predysponują ich do tej drugiej. W ogóle obserwujemy dość szybki wzrost administracji, mimo że wielokrotnie podjęmowano różnorakie wysiłki w celu zmniejszenia ilości pracowników

administracyjnych. Jak wykazały badania sejmowej Komisji Pracy i Spraw Socjalnych zdarzają się SKR, gdzie na jednego traktorzystę przypada dwóch pracowników administracji.

Rosnąca systematycznie ilość studentów, a co za tym idzie również absolwentów wyższych uczelni, pozwalałaby wyrównywać dysproporcje, jakie w ilości kadry z wyższym wykształceniem występują między poszczególnymi województwami. Maturzyści nie stali by przed problemem, co z sobą zrobić, jeśli nie dostaną się na studia. Rozładowałoby to napięcia społeczne. Byłoby ogólnie korzystne, ale z drugiej strony prowadziłoby do dalszego rozrostu i rozdrobnienia szkolnictwa wyższego. A to jest chyba zławisko najbardziej niebezpieczne.

Mamy obecnie w Polsce 89 wyższych uczelni, z 990 instytucjami i 442 katedrami. Posiadają one 17 filii i 145 punktów konsultacyjnych. Ogółem w 1978 roku studiowało 491 367 osób, w tym 20 073 studentów w filiach. Na studiach dziennych ogółem studiowało 306 082 osoby, a w filiach — 11 153. Reszta na studiach wieczorowych czy zaocznych.

Czym dysponujemy w szkolnictwie wyższym? Posiadamy:

- 17 — wyższych szkół technicznych,
 - 15 — wyższych szkół artystycznych,
 - 11 — wyższych szkół pedagogicznych,
 - 10 — uniwersytetów i tyleż samo akademii medycznych,
 - 9 — akademii rolniczych,
 - 6 — akademii ekonomicznych i tyleż samo akademii wychowania fizycznego,
 - 2 — wyższe szkoły morskie i tyleż samo akademii teologicznych.
- Interesująca jest również geografia szkolnictwa wyższego. Uczelnie wyższe posiadają:
- 13 — Warszawa,
 - 11 — Kraków,
 - 8 — Poznań i Wrocław,
 - 6 — Gdańsk i Łódź,
 - 5 — Katowice, Lublin i Szczecin,
 - 2 — Białystok, Bydgoszcz, Częstochowa, Kielce, Olsztyn, Opole, Rzeszów, Zielona Góra,
 - 1 — Gdynia, Gliwice, Koszalin, Siedlce, Słupsk, Toruń.

Filie wyższych uczelni znajdują się w Białej Podlaskiej, Bielsku Białym, Gorzowie Wielkopolskim, Jeleniej Górze, Legnicy, Płocku i Wałbrzychu. Wyższe szkoły techniczne posiadają 8 filii, uniwersytety i szkoły techniczne po 3, akademie ekonomiczne — 1. Tak się składa, że z ogólnej liczby 49 województw 28 nie posiada wyższych uczelni, ale 7 ma filie, tak więc zerowy stan posiadania ma 21 województw, 87 uczelni jest więc w miastach wojewódzkich, a tylko dwie poza nimi: w Gdyni i Gliwicach.

Posiadanie wyższej uczelni nobilituje. Miasto staje się ośrodkiem

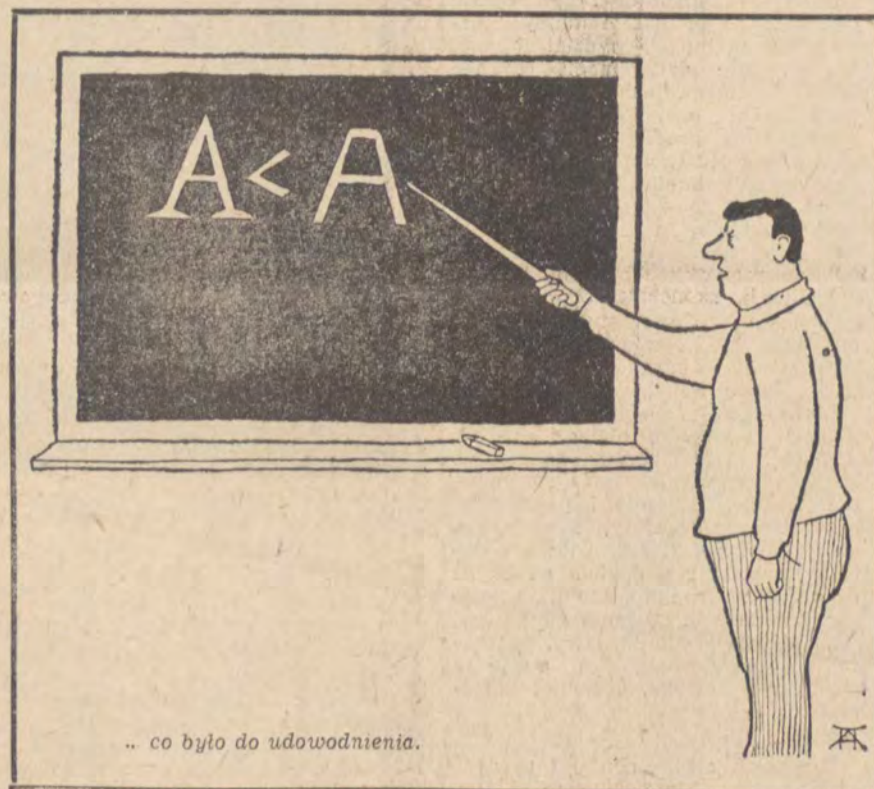
akademickim nawet jeśli posiada tylko jedną wyższą szkołę. W wielu dzisiejszych ośrodkach akademickich nie tak dawno nie było żadnej uczelni poza szkołami średnimi. Zaczynało się od filii. Można więc przypuszczać, że już niedługo tylko 21 miast wojewódzkich nie będzie jeszcze posiadało wyższych szkół, ale niewątpliwie powstaną tam filie. Czy taki proces rozdrabniania szkolnictwa wyższego jest korzystny?

Gospodarka narodowa żąda coraz większej ilości specjalistów z wyższym wykształceniem. Studiowanie nie jest u nas niczym sprawą prywatną. Studiować może każdy, kto ukończył szkołę średnią, zdał maturę, egzamin wstępny i został przyjęty w poczet studentów. Państwo znacznej części studentom zapewnia miejsce w akademiku, stypendium oraz premieje za dobrze zdane egzaminy. Nie wszędzie jednak szkoły wyższe mają dostateczną ilość pracowni, sal wykładowych, stołówek, dostatecznych pomieszczeń na księgozbiory. Inwestycje szkolnictwa wyższego pozostają jednak w tyle za potrzebami. Stąd i lokowanie wyższych uczelni poza tradycyjnymi ośrodkami akademickimi jest korzystne. O tyle tylko, że część studentów może zrezygnować z miejsc w akademikach, z obiadów w stołówkach, że jest bliżej rodziny, a więc i pracy, później będzie szukać w rejonie uczelni. Ale czy jest to korzystne ze względu na stan i ilość kadry nauczającej?

Ogółem w szkołach wyższych pracuje 51 396 osób, które zajmują się kształceniem studentów. Jest więc:

- 764 profesorów zwyczajnych,
- 1862 profesorów nadzwyczajnych,
- 5390 docentów,
- 38 463 adiunktów, starszych asystentów, asystentów, starszych wykładowców i wykładowców.

Poza tym w placówkach naukowych



Rys. Andrzej Adamowicz

OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 3

kach i szeptem wstydlivé, że musiała mu wierzyć, ponieważ chciał wziąć te pieniądze razem z jej dowodem osobistym, załatwić formalności wycieczkowe, a potem mieli się pobrać. Odchodził z uczuciem ulgi na twarzy, bo wstydził się nie tylko spojrzeć obcych ludzi, ale i własnej dorosłej córki.

— Kiedy oskarżony poznał Janinę W.?
— Wiosną 1976 roku, w związku z ogłoszoną przez nią w prasie ofertą matrymonialną. Cały czas mieszkaliśmy u niej i mówiłem, że się z nią ożenię. Złożyłem nawet specjalne zapewnienie w USC w Łodzi, chociaż żenić się nie miałem zamiaru. Natomiast nie jest prawdą, że wyłudziłem od niej 40 tys. zł i 40 marek NRD oraz przedmioty wartości 5 tys. zł. Umówiliśmy się z Janiną, że ona wniesie sprawę cywilną, a ja uznam jej roszczenia, sądząc, iż w ten sposób uniknę procesu, który w tym samym czasie wytoczyła mi Emilia T. o zwrot wyłudzonej od niej 62 tys. zł. Myślałem, że Janina W. zemściła się, gdyż była przekonana, że miałem kontakty z innymi kobietami.

Janina W., z zawodu technik elektronik. Czarnowłosa, szczupła, zgarbiona; usta wykrzywione, mówi szybko, mocno zdenerwowana, głosem lekko zniekształconym:

— Zwodził mnie, że nie ma dokumentów do ślubu...
— Brakowało mi odpisu aktu rozwodowego! — wykrzykuje Niewiadomska. — Zostałem pobity i okradziony, straciłem dowód osobisty! Ale ja naprawdę chciałem stworzyć sobie dom! Otrzymałem 157 różnych ofert i tylko trzy wykorzystałem!

— Obiecywał, że dostanie w Warszawie, ja-

ko zbawidowiec, odszkodowanie w wysokości 135 tys. zł i wciąż przysyłał telegramy, że sprawa jest w toku. Dalał mi 24 tys. na „skodę”, tysiąc złotych na „przyspieszenie” wypłaty odszkodowania, zegarek, bo nie miał z czego żyć, 2 tys. zł na wycieczkę do ZSRR, na szycie garnituru i inne sprawy, łącznie 40 tys. zł. To nieprawda, że zgodziłam się pierwszą egzkwizować od niego należności, dzięki czemu nie dosięgłaby go Emilia T. On przez dwa lata ukrywał się po kątach, bo okradł mnie z różnych przedmiotów i dopiero złapał go u siostry!

Siostra Niewiadomskiego:

— Janina wciąż przychodziła do mojego mieszkania. Mówiła mi, że to lotr i żeby mu nie dawała żadnych pieniędzy, a ona wrzeszczała, że jak nie powiem, gdzie on jest, to mi brudu narobi w pracy! Bo ona chce Heñka i już!

Najciężiej poszkodowana jest pani T., ale też jej, kobiecie z wyższym wykształceniem, najbardziej należy się dziwić, że tak łatwo dała się otumaniać szalbierzowi. Czy tylko dlatego, że szafował uśmiechami, błyszczał nieskazitelną białą zębów, i że zawsze chodził w ciemnych okularach leczniczych, z walizką teczką z mosiężnymi okuciami, ze znaczkiem PCK w klapie i z biletem miesięcznym MPK (co sugerowało, że pracuje), podając się za dyrektora „Bistonu”?

— Przepraszam! — prostuje Niewiadomska. — Byłem tylko przez dwa lata zastępcą kierownika planowania i koordynacji pracy. Przedtem byłem tokarzem, ale komisja weryfikacyjna przeniosła mnie do „Bistonu”, gdzie otrzymałem mieszkanie zakładowe. Mnie awansował wiceminister!

Poznała go w styczniu 1977 roku na dworcu. Odprowadził ją do domu i ku jej zdumieniu zjawiał się nazajutrz z butelką i kwiatami, oświadczając, że nie potrafi powstrzymać się przed zobaczeniem się z nią. Rozłożył plik dokumentów i opowiadał o swoim życiu, o ZBoWiD-zie i krwiodawstwie, o przynależności do AK. Sprawiał wrażenie poszkodowanego zyciowo, wzbudzając litość i szacunek. Był także bardzo oficjalny, i zanim odjechał, po kawie i winiaku, upewniał się czy będzie przez nią poważnie traktowany, bo kiedyś miał podobne kontakty z kobietami i potwornie się zawiodł. Chorowała w tym czasie, więc on opiekował się nią, sprzątał, robił zakupy, podawał lekarstwa i zapewniał, że jest głęboko poruszony tymi wizytami, szybko wkradając się w jej łaski. Wkrótce zaczęli ustalać datę ślubu.

Później Niewiadomska wyjaśniła, że nie zamierzała się z nią żenić, bo kiedy pewnego razu wszedł do pokoju, w którym leżała, zobaczyła, że całuje się z bratem. Opuściła mieszkanie, ale ona dogoniła go na ulicy, tylko w narzuconym na koszulę nocną kożuchu, zapewniając gorąco, że to jedynie braterski pocałunek, lecz jego wcale to nie przekonało.

— Miałam prawo jazdy, toteż niebawem przedstawił mi dokument na przydział samochodu, wystawiony na jego nazwisko, oznajmiając, że brakuje mu tylko 36 tys. do wpłacenia, gdyż większość kwoty już uiszczył. Mielismy się pobrać, toteż zaproponował mi tę sumę na wspólny, jak sądziłam, samochód, ale on bardzo wzdurzał się przed przyjęciem. Ale krótko się krygował, bo nazajutrz wziął bez wahania.

T. mówiła ze swadą i wzburzeniem, silna, ciemnowłosa, z dużym nosem i lekko skośnymi oczyma, potrząsając grubą srebrną branso-

letą na ręce. Mówi, że on proponował jej dopłatę 20 tys. na nowy model „skody”, ale nie zgodziła się, gdyż samochód taki wydawał się jej za drogi i za szybki. W marcu pojechali do Polmozbytu po odbiór wozu. Stała w holu. Niewiadomska załatwiała. Oświadczyła, że nie ma pracownika ani list imiennych. Przepasali się w znajomych, ale nazajutrz lista jeszcze nie przyszła. On poszedł do ZBoWiD-u w sprawie odszkodowania kombatanckiego, ona czekała na ulicy, nie przyszł jednak na spotkanie, więc wróciła do domu i na drugi dzień wybrała się w gości, gdzie narzeczony także się nie zjawił. Brat zażartował, że ten narzeczony może być oszustem, to ją tknęło niemile i kiedy wróciła do domu, rozejrzała się i stwierdziła, że bra-

PAGANINI

kuje jej brązowej torby, rękawików, bluzek, złotych pięciopalców, obrączki i innych rzeczy oraz 54 tys. zł w gotówce. Przypomniała sobie, iż dawała mu jeszcze 5 tys. na spłacenie długu, bo gdy był dyrektorem, okradła go nieuczciwie kasjerka. Łącznie wyłudził od niej 41 tys. zł, a ukradł 64 tys., czyli w sumie 105 tys. Potem dowiedziała się, że w jej imieniu wziął od ob. Ch. jeszcze 21 tys.

Obrona oskarżonego usiłuje stworzyć pewne napięcie, młotając się jak adwokat z filmu a-

nad doktoratami pracuje kilka tysięcy asystentów, którzy muszą obronić pracę doktorską, jeśli chcą utrzymać się na uczelni. A co innego mogą zrobić?

Postulat szerokiego otwarcia wyższych uczelni wszystkim, którzy mają maturę i chcą studiować jest niebawem atrakcyjny i wierzę, że kiedyś do tego dojdzie. Ale zwolennicy takiego rozwiązania, jakby nie dostrzegali, że teoretycznie bramy uczelni stoją otworem przed wszystkimi. W 1978 roku na blisko pół miliona studentów 113 285 osób studiowało bądź zaocznie, bądź wieczorami po pracy, a więc jednocześnie studiowało i pracowało. W zasadzie każdy pracujący, jeśli chce, otrzyma konieczne zezwolenie swoich zwierzchników i dostanie się na studia wyższe, może studiować nie przerywając pracy. Wielu zmusza do tego życie, bo znaleźli się na stanowiskach, na których wymaga się wyższego wykształcenia, nie chcą więc rezygnować z osiągniętej pozycji borykając się ze studiami. Ta droga wielu nauczycieli uzupełniła swoje wykształcenie, co może poprawiło statystykę, ale nie zmieniło radykalnie sytuacji w szkolnictwie. Jest jednak spora grupa ludzi, którzy świadomie wybierają takie rozwiązanie: praca i dalsza nauka. Zmusza ich bowiem do tego sytuacja życiowa. Jest to niewątpliwie zjawisko pozytywne, jeśli się weźmie pod uwagę, że chodził im o wiedzę, a nie tylko o fakt posiadania dyplomu.

Większość absolwentów zadowala się jednak dyplomem, uznając: wiadać, że dyplom jest wyznacznikiem posiadanej wiedzy, co nie zawsze jest prawdą. Zastanawia fakt, że w 1977 roku na studiach podyplomowych było 12 497 słuchaczy, a świadectwa ukończenia tych studiów otrzymało 8 313 osób. Czy to jest dużo, czy mało, jeśli zważy się, że już niedługo będziemy mieli milion absolwentów wyższych uczelni?

Liczby są imponujące. Dowodzą rozwoju oświaty, ale istotnym miernikiem tego są nie tylko liczby, również skutki. Z tymi jest nieco gorzej. Opinie o obniżającym się poziomie szkolnictwa niepokoją. Czy nie wynika to z tego, że szkolnictwo wyższe silnie rozdrobniło się? Czy nie potrzeba mu stabilizacji? Ugruntowania pozycji, skoncentrowania kadry. Nie można przecież mnożyć ilości uczelni w nieskończoność. Nie można prowadzić do tego, aby każde miasto wojewódzkie miało wyższą szkołę, bo zamienia się one w końcu w wyższe szkoły pomaturalne.

Myślę, że w miarę możliwości należy umożliwić studia tym wszystkim, którzy chcą i mają do tego wyraźne predyspozycje, ale jednocześnie nie można rezygnować z kształcenia pracujących i nie można realizować tego przez dalszy wzrost liczby szkół wyższych. Trzeba dać przede wszystkim do umocnienia tego, co posiadamy. A jeśli się okaże, że coś mamy w nadmiarze, to nie zapominać o dobrej zasadzie koncentracji. Szkoła wyższa musi być wyższą nie tylko z nazwy,

BOGDA MADEI

JAK TO Z LNEM JEST

Len towarzyszy człowiekowi od niepamiętnych czasów, ale przemysł lniarski w Polsce liczy sobie tylko 150 lat i związany jest z Żyrardowem. Nic więc dziwnego, że i Centralne Laboratorium Przemysłu Lniarskiego znajduje się w Żyrardowie. Co prawda, kiedy polski len zdobywał światowe rynki, nie dysponował żadnym centralnym laboratorium, a o kolorach i wzorach decydowała garstka ludzi, ale to było dawno. Dziś z szacunkiem wymieniam się nazwiskami rysownika Gocławskiego, Kazimierza Russego czy braci Władysława i Aleksandra Skrzypkowskich, którzy tworzyli wzornictwo polskiego lnu.

Przemysł lniarski, choć liczy sobie tylko półtora wieku, tradycyjnie ma bogate. Zakłady lniarskie w Żyrardowie nadal używają znaku firmowego ustanowionego przed wieloma laty, jako że znak ten znany jest w świecie i szanowany. Centralne Laboratorium Przemysłu Lniarskiego w Żyrardowie kontynuuje tradycje lniarskiego wzornictwa, chociaż zajmuje się też techniką i technologią. Pracuje w nim dziś 420 osób. Czy są zadowoleni z tego, co robią?

Nim odpowiem na to pytanie, chciałabym uświadomić czytelnikom, czym jest len. Wszyscy uczuliśmy się o tym w szkole, ale z wiedzy tej pozostało na ogół przekonanie, że len jest pożyteczną rośliną, a płótno lniane nadaje się na pościel, obrusy i ściereczki. Poza tym bardzo się gniecie. I jest to prawda, ale nie cała.

Powszechnie wiadomo, że len daje włókno, olej, makuch, paździerz. Znajduje więc zastosowanie w przemysłach spożywczym, włókienniczym, drzewnym. Ale jak to jest wydajna roślina?

Z jednego hektara lnu można otrzymać:
— 1.260 metrów tkaniny,
— 1.500 kg paździerzy, z których robi się 2,3 metra sześciennego płaty paździerzowej,
— 400 kg nasion, z których otrzymuje się 120 kg oleju lnianego plus 120 kg makuch, będących paszą dla bydła,
— 300 kg plew, które są również paszą dla bydła.

Jeden hektar lnu oszczędza 1 hektar stuletniego lasu. Ile musielibyśmy wyciąć drzew, gdyby nie płaty paździerzowe, których teraz powszechnie używa się do produkcji mebli, i nie tylko. Len jest również opłacalny pod innymi względami. Na przykład w 1977 roku z jednego hektara pszenicy można było uzyskać 1.940 złotych dewizowych, a z jednego hektara lnu 5.052 złotych dewizowych. A przecież mimo wszystko był taki czas, kiedy planowano zrezygnować z uprawy lnu i jego przetworstwa. W Żyrardowie gorzko wtedy żartowano, że będzie się chyba produkować zapakki zamiast lnianych tkanin i innych wyrobów z lnu. Ale tak się nie stało. Na szczęście.

Światową potęgą w produkcji i uprawie lnu jest Związek Radziecki. Średnia działka uprawy lnu w ZSRR wynosi 120 ha. Radziecki przemysł lniarski daje 70 procent wszystkich płócien lnianych produkowanych na świecie. My dajemy 8,2 procent tkanin lnianych, Francja — 7,6 procent, CSRS — 3,1. W Czechosłowacji wielkość średniej działki pod uprawę lnu wynosi 70 ha, na Węgrzech — 30 ha, w Polsce — 1,3 ha. A mimo to 75 procent surowców dla polskiego przemysłu lniarskiego pochodzi z Polski. Chodzi tu nie tylko o sam len, ale i barwniki, środki chemiczne i tym podobne. Ogółem w produkcji przemysłu lniarskiego używa się tylko 14 procent materiałów importowanych, co powinno ten przemysł stawiać w szczególnej sytuacji. Ale tak nie jest.

Innym powodem do tego, aby szczególnie troszczyć się o przemysł lniarski, jest jego eksport. Wysła się na granicę około 36 milionów metrów tkanin lnianych, to jest mniej więcej połowę całej produkcji. W światowym eksporcie tkanin lnianych Polska zajmuje bezspornie pierwsze miejsce. W USA na przykład 52 procent kupowanych tkanin lnianych pochodzi z Polski, w Japonii i Australii — 90 procent. Poza tym sprzedajemy nasze tkaniny lniane do RFN, Francji, Włoch. W światowym obrocie tkanin lnianych dajemy ich 32 procent (CSRS

— 25 procent, Anglii — 12, a Belgowie — 10 procent). I jest to eksport ze wszech miar dla nas opłacalny.

Ale w Centralnym Laboratorium Przemysłu Lniarskiego nie są z tego wszystkiego zbyt zadowoleni. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że przemysł lniarski jest niedoinwestowany. Niedawno podniesiono ceny skupienia lnu, co spowodowało naturalne zainteresowanie rolników uprawą tej rośliny. I jeśli aura nie przeszkodzi, może dojść w niedalekiej przyszłości do bardzo niekorzystnej sytuacji, kiedy lnu będzie więcej niż można go będzie przerobić w roszarniach. Aby tylko utrzymać taki poziom produkcji lnu, jaki jest obecnie, trzeba w ciągu dwu najbliższych lat wydać na unowocześnienie roszarni 400 milionów złotych.

Jest to niezbędne również z tego powodu, że praca w przemyśle lniarskim — a szczególnie w roszarniach — nie należy ani do łatwych, ani do przyjemnych. Modernizacja roszarni to nie tylko zwiększenie ich produkcji, to także poprawa warunków pracy. Bez tego można się będzie któregoś dnia obudzić bez ludzi do roboty. W 1977 roku z roszarni odeszło dwa tysiące pracowników.

Każdy rozumie prostą zależność między istniejącym poziomem produkcji, a propozycjami placówek naukowych i badawczych. Zadaniem Centralnego Laboratorium Przemysłu Lniarskiego jest przygotowywać i proponować przemysłowi nowe rozwiązania tak techniczne, technologiczne, jak i wzory. I CLPL z zadania tego wywiązuje się. Przynajmniej teoretycznie.

Będąc w Żyrardowie wysłuchałam długiej listy kłopotów, z jakimi borykają się ci, którzy mają w tej gałęzi przodować. Bez właściwych, nowatorskich propozycji CLPL nie dokona się postępu w przemyśle. To każdy rozumie. Ale pracownicy CLPL są w sytuacji, kiedy rezultaty ich pracy trzeba czasami odkładać do lepszych czasów. I to z różnych powodów, ale często z powodu niedoinwestowania producenta.

Z lnu robi się różne rzeczy, między innymi słynny lennox oraz tapety. Nie mam zamiaru wchodzić tu w sprawy jakości lennoxu, bo to osobny temat. Ale chciałabym poruszyć sprawę jego wzornictwa. Jest ono monotonne, takie samo, bez urozmaideń. Jeśli szukać winnych, to w Żyrardowie, bo projektanci z CLPL powinni takie wzory przygotowywać. I przygotowują, ale brakuje walów drukarskich. Takich walów nie ma, nie ma więc i urozmaiconego wzornictwa. Ostatnio — w drodze szukania ratunku — postanowiono zwrócić się o pomoc do Domu Słowa Polskiego w Warszawie, aby tam można było wytrawiać walły drukarskie. Może to się uda.

Widziałam w Żyrardowie wzory bardzo udanych tapet z lnianych tkanin. Naklejane są one na gabki, albo na papier. Spróbujcie jednak kupić takie tapety. Nie ma.

Nie ma tapet na rynku dlatego, że przemysł lniarski nie posiada maszyn do produkcji tapet. Z maszynami dla przemysłu lniarskiego w ogóle jest kłopot. A bierze się on stąd, że w kraju takich maszyn — z nielicznymi wyjątkami — nie produkuje się, trzeba więc sprowadzać je z zagranicy i wydawać na ten cel dewizy. Dewiz natomiast — jak powszechnie wiadomo — nie posiadamy w nadmiarze.

Tylko, że tutaj powstało błędne koło. Przemysł lniarski, opierając się w dużej mierze na krajowych surowcach i materiałach, dostarcza gospodarce owych, tak potrzebnych dewiz. Trochę też gospodarki powinna być modernizacja przemysłu lniarskiego, aby mógł nadal te dewizy dostarczać. Jeśli bowiem tak nie będzie, to szybko dojdziemy do czasu, że na nasze rynki zagraniczne wejdą konkurenci. A jest ich немало. Na przykład Rumuni, którzy przemysł lniarski dopiero rozwijają, odgrają się, że jak nie ruszymy z modernizacją, to za jakieś pięć lat nas prześcigną. I trudno im nie wierzyć.

Za koniecznością szybkiej modernizacji przemysłu lniarskiego przemawiają też fakty Żyrardowskie zakłady lniarskie na ogół uważa się za nowoczesniejsze w kraju. Ale w tych najno-

wocześniejszych zakładach 13 procent maszyn pochodzi sprzed pierwszej wojny światowej, a 29 procent — sprzed drugiej. Również Centralne Laboratorium Przemysłu Lniarskiego w Żyrardowie nie dysponuje najnowocześniejszymi maszynami, choćby w jednym tylko egzemplarzu, niezbędnym do przeprowadzania prób. Dochodzi więc do takich sytuacji, kiedy pracownicy CLPL jeżdżą do różnych fabryk w poszukiwaniu maszyn, na których można byłoby przeprowadzić niezbędne próby.

Mimo tych trudności CLPL spełnia swoje obowiązki i przedstawia przemysłowi różne nowości do wykorzystania. Są to nowości zarówno techniczne, technologiczne, jak i nowe wzory z lnu. Czy łatwo trafią one na rynek? Nie. CLPL prezentuje swoje nowości zakładom produkcyjnym, a one — w zależności od różnych czynników, między innymi i ze względów technicznych — albo je przejmują, albo odrzucają. Następnie nowe towary wystawiają producenci na giełdach. I tu już decydują handlowcy, o których wiadomo, że najbardziej lubią zamać towary raz już sprawdzone na rynku, czyli chodliwe, na które akurat może już nie być zapotrzebowania. Chcąc tę barierę przełamać w CLPL w Żyrardowie umyślono sobie, zaproponować „Otexowi”, żeby w każdym wojewódzkim oddziale był konsultant plastyczny, który pomagałby urzędnikowi w kupowaniu nowości przemysłu lekkiego. Ale czy ten pomysł chwyci?

Pracownicy Centralnego Laboratorium Przemysłu Lniarskiego w Żyrardowie znajdują się w dość niezręcznej sytuacji. Mają świadomość, że od nich w dużej mierze zależy postęp w tym przemyśle, ale z drugiej strony mają też świadomość barier i przeszkód ten postęp ograniczających. Mają świadomość, że bez nowych technologii w przemyśle lnu nie podnieść się jakości przedziwnie. Czy mają opracowane nowe technologie? Tak. Ale wprowadzić ich przy obecnym parku maszynowym nie można. Trzeba je na razie odłożyć do archiwum. Ale na świecie przemysł lniarski nie stoi w miejscu. Co więc robić? Szukać dalszych rozwiązań, o których z góry wiadomo, że nie znajdują w tej chwili zastosowania?

Umyślono więc, że można byłoby eksportować projekty. Pomysł to dobry, ale nie taki łatwy do realizacji. Przede wszystkim dlatego, że projektanci nie jeżdżą za granicę. I tu nie chodzi o wyjazdy na targi, gdzie pokazuje się już gotowe wyroby. Projektanci z Żyrardowa dostają bogaty serwis wydawniczy, katalogi, karty barw, magazyny mody. Wiedzą, co się dzieje u konkurentów. Brakuje im jednak znajomości głębszej. Chcąc eksportować wzory, trzeba znać również upodobania społeczeństwa danego kraju, kulturę, sztukę. Ta wiedza jest nawet potrzebna tylko dlatego, aby zagranicznym klientom proponować nasze wzory. Inaczej pozostaje kopiowanie tego, co chce zagraniczny klient. A są to czasem wzory tak odległe od naszych gustów, że później nie wiadomo, co zrobić z eksportowymi odrzutami, które przy obecnym poziomie technicznym przemysłu lniarskiego są rzeczą nie do uniknięcia.

Len jest piękną i pożyteczną rośliną. Istnieje około 200 gatunków lnu. Len uprawiany u nas jest na ogół krótkowłóknisty. Nim wprowadzi się nowe, bardziej wydajne gatunki, podnieśli się na wyższy poziom uprawy tej rośliny, trzeba techniką nadrobić to, czego nie dała natura. Tylko, że ta technika też nie jest najwyższego poziomu. I czasem bardzo trudno jest poprawić naturę. A chyba warto. Mamy bowiem przemysł, który w większości opiera się na krajowym surowcu, co powinno być szeroko wykorzystywane. Tym bardziej że dzięki hemli można nadrobić niektóre wady lnianych tkanin, jak choćby gniotliwość. Lniane tkaniny mają poza tym szereg zalet, których czasem nie potrafimy jeszcze docenić. Polski len ma dobrą markę, a mógłby mieć jeszcze lepszą. Pod warunkiem, że zacznie się ten przemysł traktować bardziej serio.

SZALBIERSTWA

gdzie są ukryte pieniądze, i że świadek jest straszną 105 tys. zł.

Teraz Niewiadomski zmienia twarz, ukazując się Sądowi jako Wallenrod na zapleczu światła ciemnych interesów, jako Janosik i kontroler autobusowy z Radomska jednocześnie.

— T. nigdzie nie pracowała, chociaż ludzie z jej zawodem bardzo są poszukiwani. Prowadziła wystawne życie, sąsiedzi źle na to patrzyli, nastawiała więc, abym firmował jej

dom. Dlatego chciała wyjść za mnie oraz żyć z sobą, żebym kupił dla niej samochód. I data mi te 20 tys. na nową wersję „skody”. Pojechałem z nią i z tymi pieniędzmi do Zjednoczenia, ona zwiadała sklepy „Olimpii”, a ja uszedłem na górę i nie wpłaciłem tych pieniędzy, zatrzymując je dla siebie. Nie miałem drugiego klucza do jej mieszkania. A gdybym miał, to nie skradłbym 54 tys., ponieważ miałaby tylko 381 Po co miałbym brać jakieś ręczniki, skoro były tam dziesiątki wyprawionych skórek tchórzy i norek? Albo po co mi torba skórzana? Ta torba śmierdziła rybami! Bo T. przywoziła znowu z morza w tej torbie wędkarskie łososi, placąc na Wybrzeżu po 280 zł za kg i sprzedając w Łodzi po 500 zł! Oni wszyscy traktowali mnie z pogardą, nie jak człowieka. Wziąłem od ob. Ch. 20 tys. zł na polecenie brata T., któremu miałem dostarczyć 2000 marek na wyjazd do NRD. I to ja miałem zwrócić te pieniądze Ch., kradnąc dla niego z „Bistonu” przedzę stilonową na sieć! Nie uczyniłem tego! Z początku zamierzałem usamodzielić się i kupić za te pieniądze łososi, ale nie miałem dojścia, a poza tym wydało mi się to nieuczciwie. Ponieważ oni oszukiwali państwo, postanowiłem ich ukarać i 85 tys. przegrałem w totolotka. Grą w totolotka zwróciłem państwu, to co oni ukradli...

W rozmowie z psychiatrami zaczyna mylić pewne fakty. Był innym człowiekiem, ale kiedy wyszedł z lasu i trafił do wojska, zrobiono z niego wroga, który na siłę pragnął obalić u-

strój. I to już za nim szło, i nie mógł tego znieść.

— Proszę! — wyciąga teatralnie obnażone ramię. — Z rozpaczy przeciąłem sobie tętnicę jak Petroniusz!

Esteta. Mówi z egzaltacją, załamującym się głosem, słowa z trudem przeciskając się przez gardło. Pulchny, o żółtawej, niezdrowej cerze. Chorował na gruźlicę i ma poważną wadę serca.

— Dlaczego ja to robię? Sam tego nie rozumiem. Może za łatwo mi to przychodzi? To wina kobiet! Po pierwszym spotkaniu wciągnęła mnie do łóżka...

— Ale to one skarzają się na pana. To pan zastawia na nie sidła, pisząc ogłoszenia matrymonialne...

— Nie uważam się za chorego psychicznie, ale boję się siebie, bo nie mogę się pohamować przed oszustwem. Potrafię odróżnić dobro od zła, lecz przychodzą złe chwile i wtedy tracę samokrytycyzm. Boję się, nauczyłem się bać. Nie, kłły się nie bałem. Tak, w grę zawsze wchodziły kobiety. Tak, byłem mało wybredny. Chciałem czymś imponować...

— Ale po co imponować? Przecież pan ma wyższe studia, nie jest fizycznie ułomny...

— Cierpię na kompleks niższości...

— Nie mam tyle silnej woli, żeby się cofnąć przed przestępstwem. Zdobywam kobiety, bo nie widzę dla siebie żadnych szans. Chciałem to wyrzucić z siebie, ale nigdy nie pozwolono mi się wypowiedzieć. Jeżeli mówię prawdę, to mi nie wierzą. Mnie jest już wszystko jedno!

— Pije pan?

— Dwa razy w miesiącu. Piwa i wina wcale...

Dłonie wilgotne, pocą się i lekko drżą. O tym, czy pije, mogą powiedzieć koleśki z jego nabożki czyli szajki: Mopsówna, Waliza (Garbus), Beblak (Jakała), Kindybal, Palmus i wszystkie latarniówki, od których brał prezenty.

Kosztowny zawód. Trudna osobowość. Typ psychopatyczny ze skłonnością do pseudologii fantastycznej. Gdyby wyuczył się jakiegoś zawodu, pokochał pracę i bliską mu kobietę i zechciał się leczyć, to...

— Zgłosiłem się sam do szpitala, gdzie zaproponowano mi punkcję. Bałem się. Wiedziałem, że nieudana punkcja grozi częściowym paraliżem.

No, właśnie! Czy by wówczas imponował kobietom?

RYSZARD BINKOWSKI

ODGŁOSY 5

PAWEŁ PATORA

NIE TYLKO DLA BIELSKA

Bielsko Biala, 160-tysięczne miasto wojewódzkie położone u podnóża Beskidu Śląskiego, zaskakuje przyspieszającą swą schłodnością i czystością. W centrum — malownicza starówka, na obrzeżach miasta — nowe osiedla mieszkaniowe i liczne zakłady przemysłowe. W gospodarce społecznej Bielska pracuje 110 tysięcy osób, z czego 33 tysiące — w Fabryce Samochodów Małolitrażowych. Dobrze rozwinięty jest tu przemysł maszynowy, włókienniczy i elektrotechniczny. Oczywiście potrzebuje on wysoko kwalifikowanych kadr inżynierskich. W dużej mierze potrzeby te zaspokaja jedyna wyższa uczelnia Bielska Białej — Filia Politechniki Łódzkiej.

Przypadkowo napotkani na ulicy Bielszczanie zapytani o szkołę wyższą, w zdecydowanej większości potrafią bezbłędnie podać jej nazwę, wskazać siedzibę, a często także wymienić kierunki studiów. Są dumni z obchodzącej właśnie dziesięciolecie swego istnienia uczelni. Wicewojewoda Jan Walach podkreśla jej doniosłą rolę kulturotwórczą. W mieście nie posiadającym tradycji kulturalno-naukowych, stała obecność i aktywność środowiska akademickiego wpływa ożywczo na życie umysłowe, pobudza potrzeby kulturalne i aspiracje intelektualne mieszkańców. Poprzez stały dopływ kadr z wyższym wykształceniem zmienia się na korzyść struktura społeczna leżącego robotniczego miasta. Filia Politechniki Łódzkiej w Bielsku Białej należy dziś do najsilniejszych filii uczelnianych w kraju. Kształci się tu prawie półtora tysiąca studentów. Systematycznie wzrasta ilość kadr naukowo-dydaktycznych. Obecnie w Filii PL pracuje 119 nauczycieli akademickich zatrudnionych na stałe i około piętnastu dojeżdżających z Łodzi. Niektóre zajęcia prowadzą też specjaliści z przemysłu.

W coraz szybszym tempie wzrastają kwalifikacje nauczycieli akademickich. Obecnie w trzech instytutach filii: Technologiczno-Samochodowym, Mechaniczno-Konstrukcyjnym i Włókienniczym oraz w trzech studiach pracuje czterdziestu profesorów i docentów, dwudziestu czterech adiunktów, czterech starszych wykładowców, siedemdziesięciu siedmiu asystentów i starszych asystentów.

Prorektor Politechniki Łódzkiej dr hab. Jan Szadkowski podkreśla, że jedną trzecią wszystkich adiunktów stanowią doktorzy promowani w 1978 roku. Obecnie dwudziestu pracowników naukowo-dydaktycznych ma otwarte przewody doktorskie. Powstała już pierwsza praca habilitacyjna wykonana w filii, a kilka następnych jest poważnie zaawansowanych. Prorektor spodziewa się, że każdy kolejny rok będzie przynosił jedno, a może i dwa kolokwia habilitacyjne.

Clagły rozwój naukowy nauczycieli akademickich — to przedmiot szczególnej troski władz Filii PL w Bielsku, które słusznie uważają, że jest on podstawowym warunkiem umocnienia młodej uczelni; podniesienia poziomu kształcenia i prac badawczych.

W początkowym okresie istnienia

filii trzon kadry naukowej stanowili pracownicy Politechniki Łódzkiej, którzy albo przenieśli się do Bielska Białej na stałe, albo regularnie dojeżdżali z Łodzi. Prof. dr hab. Jan Wajand — dyrektor Instytutu Technologiczno-Samochodowego — przeszedł do filii wraz z grupą swoich najbliższych współpracowników. Zorganizował od podstaw silny ośrodek naukowo-badawczy i dydaktyczny w dziedzinie technologii i konstrukcji samochodowych. W 1972 roku, po dwudziestu latach pracy w PL, związał swe losy z filią w Bielsku doc. dr hab. Andrzej Włochowicz — dyrektor Instytutu Włókienniczego. Takich przykładów można by podać wiele.

Z biegiem lat z PL, a także z pobliskich uczelni technicznych przychodzili do filii następni naukowcy, m. in. obecny prorektor — doc. J. Szadkowski, były wieloletni pracownik Politechniki Krakowskiej. Zatrudniano także młodych absolwentów wyższych szkół technicznych, najciekawsze mieszkających Bielska Białej lub okolicznych miejscowości. Znaczną pomoc w kształceniu kadry naukowej niesie bielskiej filii macierzysta uczelnia z Łodzi. Naukowcy PL recenzują prace doktorskie wykonane w Bielsku, rady wydziałów rozpatrują wnioski o nadanie stopni naukowych pracownikom filii. Dyrektor Instytutu Mechaniczno-Konstrukcyjnego Filii PL — doc. dr hab. Marek Trombski — podkreśla ścisłą współpracę z Instytutem Mechaniki Stosowanej PL kierowaną przez prof. dr hab. Jerzego Leykę. Nauczyciele akademicki filii zawsze mogą liczyć na pomoc i radę profesora lub na konsultację z innymi pracownikami Instytutu Mechaniki Stosowanej.

Dziś filia ma już sporą autonomię. Posiada własne władze kolegialne (Kolegium i Radę Filii), własny budżet, wydzielony z całości budżetu politechniki, oddzielną administrację, samodzielne instytuty i studia, filie wydziałów: Mechanicznego i Włókienniczego.

— **„Dążymy do ciągłego ułaniania naszej filii w Bielsku Białej — mówi rektor Politechniki Łódzkiej — prof. dr hab. Edward Galas. —** Dołączamy starań, by zapewnić jej warunki do stałego rozwoju, a nawet — w dalszej przyszłości — do usamodzielnienia się, o ile będzie tego wymagały społeczno-gospodarcze potrzeby kraju i województwa bielskiego.

Wicewojewoda J. Walach podkreśla, że władze województwa są zadowolone ze współpracy z Politechniką Łódzką, bowiem wszystkie problemy i bieżące trudności związane z pracą filii łódzka uczelnia rozwiązuje, w miarę posiadanych możliwości, szybko i sprawnie. Uznaje władze lokalnych znalazły swój wyraz w nadaniu Politechnice Łódzkiej honorowej odznaki „Zasłużonych dla województwa bielskiego” oraz wróceniu Rektorowi PL, podczas uroczystej inauguracji obecnego roku akademickiego, berła wykonanego przez bielskich rzemieślników, według projektu miejscowych artystów plastyków, które uzupełniło insygnia władzy rektorskiej.

Powstanie w Bielsku Białej wyższej szkoły technicznej było następstwem potrzeb kadrowych miejscowego przemysłu, głównie maszynowego i włókienniczego. Już 734 absolwentów Filii PL zasiliło przemysł miasta i regionu. — „Są to wartościowi inżynierowie, dobrze przygotowani do pracy zawodowej; nie odbiegają poziomem wykształcenia od absolwentów PL w Łodzi — twierdzi rektor uczelni — prof. E. Galas. Również kompleksowa wizytacja Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, przeprowadzona przed rokiem wykazała wysoki poziom pracy dydaktycznej filii. Absolwentów bielskiej uczelni technicznej można już spotkać w każdym większym zakładzie mechanicznym i włókienniczym regionu. Co roku miejscowy przemysł zatrudnia ok. pięćdziesięciu inżynierów włókienników. Przed powstaniem filii przyjmowano rocznie w Bielsku do pracy trzech lub czterech absolwentów jednego w kraju Wydziału Włókienniczego PL, Fabryka Samochodów Małolitrażowych zatrudniała około pięćdziesięciu absolwentów filii.

W zdecydowanej większości studentów już podczas studiów zostają wprowadzeni w problemy zakładów, w których będą pracować. Spośród słuchaczy czwartego i piątego roku do wyjątków należą ci, którzy nie pobierają stypendiów fundowanych. Np. na Wydziale Mechanicznym stypendystami zakładów pracy są 154 osoby, czyli 30 proc. ogółu „dziennej” studentów wszystkich lat Doc. A. Włochowicz uważa, że współpraca Instytutu Włókienniczego Filii PL w Bielsku Białej, m. in. w zakresie kształcenia, ze Zjednoczeniem Przemysłu Włókienniczego „Południe” może być wzorem do naśladowania dla innych. Stosunkowo małe, a ważne dla przemysłu opracowania naukowo-techniczne realizują studenci w ramach prac dyplomowych, przejściowych i innych. Każdego roku zjednoczenie na podstawie zgłoszeń podległych zakładów, ustala listę tematów proponowanych do opracowania przez studentów. Po uzgodnieniu z dyrekcją Instytutu Włókienniczego zostają wybrane tematy ważne dla zjednoczenia i jednocześnie odpowiadające stopniem trudności wymaganiom stawianym w wyższych uczelniach technicznych. Dyrekcja zakładów są bezpośrednio zainteresowane szybkim zakończeniem pracy. Chętnie więc udostępniają studentom potrzebne urządzenia, aparaturę i stanowiska badawcze we własnych halach i laboratoriach. Dyplomant bezpośrednio poznaje miejsce swej przyszłej pracy zawodowej oraz widzi praktyczną przydatność swego działania. Uzyskanie dyplomu nie jest wówczas jedynym celem pracy magisterskiej.

Inną formą studenckich kontaktów z zakładami przemysłowymi są praktyki robotnicze i specjalistyczne. Produkcja Wydziału Włókienniczego PL, d.s. Filii w Bielsku Białej — doc. dr Jan Hezko pozytywnie ocenia przygotowanie praktyk studenckich ze strony zakładów pracy. W zdecydowanej większości praktykantów otrzymują konkretne zadania produkcyjne, dzięki czemu przyczyniają się do zlagodzenia niedoborów kadrowych, szczególnie dotkliwych w okresach urlopowych.

Zaspokajanie potrzeb kadrowych — to tylko część zysków, jakie przynosi filia przemysłowi. Młoda uczelnia staje się też coraz poważniejszym partnerem zakładów gospodarczych w rozwiązywaniu problemów związanych z postępowaniem naukowo-technicznym. — **Nie jesteśmy w stanie przyjąć wszystkich zleceń oferowanych przez przemysł, gdyż napływa ich zbyt dużo —** mówi doc. M. Trombski. W ciągu pięciu lat ist-

nienia Instytutu Mechaniczno-Technologicznego wykonano w nim 24 opracowania naukowo-techniczne zlecone przez przemysł, a sześć dalszych jest w trakcie realizacji. Kontrahentami instytutu są: FSM, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Maszyn Włókienniczych „Befamatek”, Centralne Laboratorium Przemysłu Włókiennego „Południe”, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy kombinatu „Indukta” w Bielsku Białej, Zakład Doświadczalny Dźwigów Samojedźnych i Samochodowych w Bielsku Białej, Wytwórnia Silników Wysokoprężnych w Andrychowcu i wiele innych.

Bardzo bliskie związki z przemysłem utrzymują pozostałe dwa instytuty filii. Mają one swych stałych kontrahentów, z którymi ściśle współpracują, rzecz można — na co dzień. Instytut Technologiczno-Samochodowy — głównie z FSM, a Instytut Włókienniczy z ZPW „Południe”. Filie PL łączą wieloletnie porozumienia o bezpośredniej współpracy z wymienionymi jednostkami gospodarczymi, a ponadto z „Befamateksem”.

Tematy prac badawczych wybiera się tak, by jak najszersze uwzględnić życzenia przemysłu. Np. w Instytucie Włókienniczym przy opracowywaniu nowych technik i technologii przetwarzania włókien na płaskie wyroby włókiennicze, w badaniach struktury cząsteczek i makrocząsteczek włókien chemicznych i naturalnych, w badaniach wpływu czynników zewnętrznych na własności fizykochemiczne włókien i wyrobów włókienniczych, a także w innych badaniach najwięcej uwagi poświęca się zgodnie z potrzebami zjednoczenia, wełnie i włóknom wlepowodnym. Podobnie, w Instytucie Technologiczno-Samochodowym rozwiązywane są problemy interesujące FSM. Stały kontakt ułatwiają liczne związki personalne. Np. dyrektor ITS — prof. J. Wajand — jest wiceprezidentem Rady Naukowej przy FSM, a dyrektor OBR fabryki — mgr inż. Ryszard Iskra prowadzi zajęcia dydaktyczne ze studentami Wydziału Mechanicznego.

Korzyści, jakie przynosi Filii PL bliska więź z przemysłem, są ogromne. Instytut Włókienniczy posiada laboratorium wyposażone na dobrym poziomie europejskim. Nowoczesną aparaturą do celów badawczych i dydaktycznych dysponuje też Instytut Technologiczno-Samochodowy. Przytłaczająca większość znajdujących się w filii aparatów i urządzeń przekazywały bądź zakupiły jednostki gospodarcze współpracujące z uczelnią. W Instytucie Włókienniczym wartość majątku trwałego wzrosła, dzięki pomocy przemysłu, z 40 tys. zł w roku 1972 do 70 mln zł w chwili obecnej.

Pierwszy akademik, mający 154 miejsca otrzymali studenci od FSM. Ochrzcili go imieniem „Jedynak” do dziś wiedzianym na szyldzie, choć już zdezaktualizowanym. Filia ma bowiem od niedawna drugi dom studencki w dzielnicy Wapienica. Dawnie był tam mieszkanie rotacyjne dla młodych małżeństw robotniczych. Obecnie 44 pokoje tego budynku zamieszkuje ok. 130 studentów. Szesnastokilometrowe oddalenie od centrum miasta oraz brak połączenia telefonicznego są rekompensowane mieszkancom DS stosunkowo dobrymi warunkami mieszkaniowymi.

W dniu 1 grudnia ubiegłego roku, oddano do dyspozycji pracowników i studentów filii stołówkę o trzystu miejscach konsumpcyjnych. Zakwaterowanie i wyżywienie — to sprawy szczególnej wagi w uczelni, w której wśród 978 studentów tzw. dziennych jest aż 583 zamieszkałych. Na szczęście, dzięki pomocy przemysłu i miejscowych władz, następuje systematyczna poprawa warunków so-

cialno-bytowych młodzieży studiującej w Bielsku-Białej.

Indeksy Filii PL posiada 1426 osób, z czego 405 studiuje wieczorowo a 43 eksternistycznie. Prowadzone są też studia podyplomowe, które do tej pory ukończyło trzydziści osób. Jednak prawdziwy klimat akademicki uczelni tworzą i koloryt miastu nadają studenci studiów stacjonarnych. Mają więcej niż ich starsi koledzy czasu na pracę społeczną i zorganizowane formy wypoczynku. Pełnomocnik prorektora do spraw kształcenia i wychowania — dr Jan Wencelisz pozytywnie ocenia działalność organizacji studenckich, m. in. aktywne współdziałanie SZSP z akademickim i politycznym kierownictwem filii. Szczególnie mocno podkreśla aktywność społeczną studentów.

Również wysoko ocenia kierownictwo filii studencki ruch naukowy. Najlepsze spośród pięciu pracujących tu studenckich kół naukowych — to „Maszyny włókiennicze” i „Maszyny przepływowe”. Studenci włączają się też do prac badawczych instytutów uczelnianych na podstawie zleceń lokowanych przez instytuty w bielskiej Filii Studenckiej Spółdzielni Pracy „Almaservice” z Katowic.

Zarówno prorektor J. Szadkowski, jak i wicewojewoda J. Walach uważają, że obecnie obowiązujący limit przyjęty na pierwszy rok jest optymalny. Nie myśli się także o rozszerzaniu profilu kształcenia, choć być może w dalszej przyszłości zostaną uruchomione studia z elektrotechniki oraz organizacji i zarządzania. Ważniejszym zadaniem na dzień dzisiejszy jest pozyskanie najlepszych absolwentów szkół średnich, bowiem dla najbardziej uzdolnionej młodzieży silną pokusę stanowią studia na stosunkowo bliskich uczelniach Krakowa i Górnego Śląska. W filii prowadzi się szeroką akcję informacyjną, dla kandydatów na studia, a także spotkania z nauczycielami matematyki i fizyki w szkołach średnich. Obecnie do Filii PL zgłasza się przeciętnie dwóch kandydatów na jedno miejsce.

W przyszłym roku na obu wydziałach filii ruszą studia przemienne (semestry pracy na przemian z semestrami nauki). Mechanikę będą studiować systemem przemianowym głównie pracownicy FSM. W następnych latach zamierza się rozszerzyć te formy podnoszenia kwalifikacji pracowników także na inne przedsiębiorstwa zatrudniające mechaników. Na Wydziale Włókienniczym już w przyszłym roku akademickim studiami przemianowymi zostaną objęci pracownicy różnych zakładów przemysłu lekkiego z południa Polski.

Perspektywiczna wizja filii — to nie tylko silniejsza kadra naukowa, nowe formy i, być może, kierunki studiów. To także nowoczesne, funkcjonalne budynki, które dziś można obejrzeć jedynie na makiecie w gabinecie prorektora. Projekt, wykonany przez architektów z Politechniki Łódzkiej zakłada wzniesienie całego kompleksu budynków, m. in. pawilonu audytoryjnego, hali technologicznej, domów studenckich, rektoratu, hali sportowej, basenu i stadionu. Malownicza lokalizacja pod Szynodzielnią, między Alcją Pokoju a ulicą Brygadystów, sprawi, że będzie to — bez przesady — najpiękniej położona uczelnia w Polsce. Kiedy to nastąpi? Znanie trudności inwestycyjne zmuszają do wstrzymania się z odpowiedzią na to pytanie. Wicewojewoda J. Walach zapewnia jednak, że w przyszłym pięcioleciu powinna rozpocząć się budowa. Już teraz zbrojąc teren pod planowane w pobliżu osiedle mieszkaniowe, uwzględnia się potrzeby projektowanego zespołu budynków filii.

NIE TYLKO HISTORIA

POLSKA KLASA ROBOTNICZA

Całkiem niedawno mieliśmy okazję pisać na tym miejscu o drugiej części pierwszego tomu dzieła zbiorowego „Polska klasa robotnicza. Zarys dziejów”, powstającego pod redakcją Stanisława Kalabińskiego, a już wypada rzecz kilka słów o następnej, która się właśnie ukazała. Dobry to znak, że tak ważna historyczna synteza powstaje w szybkim tempie. Przyzwyczajaliśmy się już bowiem, że szeroko zamierzone, syntetyczne dzieła zbiorowe, rodzą się u nas zwykle przez lat kilkanaście, a niekiedy — jak w przypadku PAN-kiej „Historii Polski” — kilkadziesiąt. Kiedy więc dochodzimy do końca, a nawet gdy się tylko doń przybliżamy — co zdarza się częściej, gdyż nie mamy szczęścia, byśmy doczekali się rzeczywistego ukończenia tych dzieł — nader czę-

sto okazuje się, że to, co mają nam do zaoferowania, jest towarem już nieco zleżałym, jako że rozwój badań szczegółowych posunął się znacznie ku przodowi, a dawniejsze koncepcje metodologiczne zostały już zdystansowane przez nowsze przedmyślenia i inspiracje. Sensem wielkich, zbiorowych syntez — oczywiście nie jedynym, ale przecież ważnym — jest, by ukazywały się w jakimś niezbyt rozpiętym diapazone czasowym, by od pierwszego do ostatniego tomu nie upływały dziesiątki lat i więcej, by owoc wieloletniej pracy nie zeschł się i pomarzczył przed jego podaniem czytelnikowi.

Stanisław Kalabiński i kierowany przezeń zespół badaczy wiedzą doskonale, jakimi niebezpieczeństwami grozi zbyt szybkie rozciąganie w czasie pracy nad syntezą. Najsłuszniej autorzy

„Polskiej Klasy Robotniczej” zdecydowali się na określenie swego monumentalnego dzieła mianem „zarysu”. Uczynili to chyba nie tylko przez chwałębną autorską skromność. Chodził o to, że wykonane już badania, przeprowadzone sondaże, sformułowane uogólnienia — wszystko to, co stało się podstawą dla opracowania syntetycznego ujęcia całości — ujawniły jednocześnie oprócz ewidentnych zdobyczy naszej naukowej wiedzy również i jej niedostatki i ograniczenia. W miarę rozwoju badań nad dziejami klasy robotniczej — a nie jest to specyfika li tylko tego obszaru problemowego — poczęły się ujawniać coraz to nowe grupy zagadnień, wymagających wnikliwego rozpatrzenia, coraz to nowe pokłady problematyki, którą dopiero będzie można zgłębić w toku dalszych badań. Praca nad syntezą, im bardziej jest wyteżona, tym bardziej ukazuje konieczność rozszerzenia horyzontów na nowe zagadnienia, dalekie jeszcze do adekwatnego rozpoznania.

Z tej sytuacji mogą być dwie drogi wyjścia. Pierwsza — na-

zwijmy ją utopijną — każe czekać z ukończeniem syntezy do czasu, aż wszystkie ujawnione już zagadnienia będą mogły być zbadane. Drogę tę zwleamy utopijną dlatego, że zakłada ona, że ukazywanie się nowej problematyki, implikującej rozszerzenie badań, kiedyś się skończy. Wiadomo jednak o tym, że podobne nadzieje polegają po prostu na złudzeniu, bowiem dalsze poszukiwania badawcze wciąż będą ujawniały potrzebę... co raz to nowych, dalszych badań. Poznania historyczne jest długotrwałym procesem, w którym rozwój naukowej wiedzy idzie w parze z uświadamianiem sobie jej niewystarczalności. Stanisław Kalabiński i zgrupowane wokół niego grono uczonych nie poszli tą utopijną drogą. Obrali inną — realistyczną — co właśnie owocuje w kolejnych tomach „Polskiej Klasy Robotniczej”. Nie rezygnując z rozszerzania horyzontów badawczych, z coraz to nowych koncepcji, z formułowania nawet pewnych eksperymentalnych — wszystko to możemy śledzić na kartach

osobnej serii studiów, poświęconej problematyce klasy robotniczej, wydawanej pod redakcją S. Kalabińskiego — zdecydowano się na podsumowanie całości istniejących już ustaleń, zsyntetyzowanie nagromadzonej wiedzy, z pełną świadomością, że nie jest ona — i być nie może — jeszcze całkowicie pełna, że pozostaje wiele do zrobienia, do naukowego wyjaśnienia. I dlatego właśnie szeroko zamierzona synteza „Polska Klasa Robotnicza”, której tom I liczy sobie trzy opasłe woluminy po paręset stron każdy, nosi skromny podtytuł: „Zarys dziejów”, chociaż zarys to rzeczywiście panoramyczny, w którym nie przypominający brykujących „zarysów”, z jakimi jakże często się spotykamy.

Trzecia część I tomu dzieła „Polska Klasa Robotnicza”, wydana została — podobnie jak poprzednie — przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1978) i obejmuje okres lat 1870—1918. Znalazło się w nim opracowanie dzieł klasy robotniczej na Śląsku (płóta Stanisława Michalidewicza), w Wielkopolsce i na Pomorzu

Wschodnim (autorstwa Kazimierza Wajdy), w Galicji (płóta Walentyny Najdus), na Śląsku Cieszyńskim (autorstwa Antoniego Zajaca) oraz dzieł polskiej emigracji zarobkowej w Niemczech (płóta Krystyny Murzynowskiej). Całość tomu wieńczy niezmiernie interesująca, obszerna partia, poświęcona „Kulturze i obyczajom robotników”, napisana przez Władysława L. Karwackiego. O tej części tomu chciałbym kiedyś napisać osobno — zasługuje on na szczególną uwagę, jako pionierska, nie tylko na naszym gruncie, próba ujęcia problematyki, która była zbyt długo zapoznawana, bądź rozpatrywana w zawężonych kategoriach. Cały tom został opatrzonej w bogatą oprawę ikonograficzną — ilustracji jest w nim czterysta kilkadziesiąt. W ten sposób dysponujemy już całością pierwszych części tej wybitnej syntezy, jaką jest „Polska Klasa Robotnicza”. Z niecierpliwością czekamy na dalsze tomy...

ANDRZEJ F. GRABSKI

Sądząc z niektórych danych, miasta na Zachodzie wychodzą z mody. Londyn na przykład i Glasgow tracą swoich mieszkańców, ponieważ wielu z nich woli mieszkać poza granicami miasta, pustosząc też niektóre dzielnice Nowego Jorku. W rozwiniętych krajach Zachodu mówi się o otwieraniu się kryzysu miast. Tymczasem w innych częściach świata miasta przeżywają boom, a co najmniej rozrastają się. Liczba mieszkańców w Rangunie (Birma) powiększa się co roku o 23 proc! Stąd gigantyczne problemy, z którymi bezskutecznie walczą kraje rozwijające się. Miasta obiecują więcej możliwości, niż pola i wsie, ale w rzeczywistości przesiedleńcy zamieniają jeden rodzaj nędzy na drugi. Początkowo miasta odgrywały rolę ośrodków handlu i magazynów nadmiaru produkcji. Obecnie, stały się centrami informacji i zarządzania, tworząc hierarchię kontroli wykonywanej przez rząd i prezesów korporacji.

W krajach zachodnich miasta mają swoje ekonomiczne, polityczne i społeczne problemy. Chociaż konflikty, wybuchy gwałtu, kontrasty bogactwa i nędzy, przedłużenie i zanieczyszczenie otaczającego środowiska, grube błędy administracji i kłęski żywiołowe — od trzęsień ziemi po zimy stulecia — zadają miastom dotkliwe ciosy, jakoś wychodzą one z tego cało. Stany Zjednoczone, nawet według zachodnich standardów, charakteryzuje koncentracja wielkiej masy ludzi w miastach. 150 milionów ludzi, to jest niemal trzy czwarte wszystkich Amerykanów, mieszka w miastach. W początkach dwudziestego stulecia mieszkańcy miast w USA stanowili mniej, niż połowę ludności kraju. Dziś, tylko w czolowej „piątce wielkich”: Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles, Filadelfii i Detroit mieszka 32 miliony ludzi, a ogółem w miastach-milionerach z pewnością połowa ludności Stanów Zjednoczonych.

Współczesne procesy urbanizacji spowodowały w strukturze miast ogromne zmiany. Tendencje do zespalania aglomeracji zaobserwowano kilka lat temu i wówczas to puszczono w obieg termin „megapolis”, charakteryzujący niemal całkowicie zabudowany obszar na ogromnej przestrzeni. Stanowiąc główne ośrodki przemysłu i handlu, produkcji usług i rozrywki, miasta USA, niczym magnesy, przyciągają ludzi z otaczających je rejonów. Amerykanie przywykli już do tracenia po półtorej godziny na podróż do miejsca pracy i od godziny do trzech — na drogę do sklepów lub na stadion sportowy. Amerykańskie miasta są żywą ilustracją siły i słabości współczesnego, kapitalistycznego, przemysłowo rozwiniętego państwa. Amerykański „megapolis” z jednej strony jest niewątpliwym osiągnięciem człowieka. Szerokie autostrady, dobrze zaopatrzone sklepy, dzielnice administracyjne ze szkół i betonów, drapacz chmur, liczne strefy podmiejskie — wszystko to świadczy o efektywności i energii. Teatry, konserwatoria i stadiony sportowe, sąsiadują z uniwersytetami, muzeami i galeriami malarstwa. Poza tym, mimo przebudowy, miasta zachowały pamiątki przeszłości.

Ale jest i odwrotna strona medalu: przeraźliwa nędza, slumsy, bezrobocie, wzrost przestępczości, alkoholizm i narkomania oraz szczególnie nędza w murzynskich gettach wielkich miast, w których w latach 60 wybuchły krwawe rozruchy. Zanieczyszczenie otaczającego środowiska i niemal całkowity paraliż służb komunalnych atakują miliony ludzi — białych i kolorowych. Władze municypalne nie dają sobie z tym rady. Jaskrawą ilustracją tego stanu jest bunt w Nowym Jorku. Ogólnie rzecz biorąc, stare rejon wielkich miast ulegają stałej degradacji, a ich mieszkańcy — niewykształceni i niewykształcone mniejszości etniczne (Murzyni, Meksykańscy, Portorykańscy) — żyją w nędzy. Rekonstrukcja miasta często pozbawia ludzi dachu nad głową, wyburza się całe dzielnice, żeby przeprowadzić nową autostradę lub wybudować przedsiębiorstwo handlo-

we. Do odnowionych rejonów miasta znów przenoszą się zamożne rodziny białych, które stać na płacenie wysokiego czynszu za mieszkania.

Mieszkanie w osadach podmiejskich, które zasiedlają ludzie bardzo zamożni, ma duże plusy. Szkoły i usługi komunalne są tutaj lepsze, niż w mieście, ośrodki handlowe świetnie zaopatrzone, gęstość zabudowy niewielka, przeważają domy jednorodzinne z uroczymi ogródkami. Otaczające środowisko naturalne jest stosunkowo czyste, przestępczość na ulicach znacznie mniejsza, niż w starych rejonach miejskich. Całe życie osiedla przystosowano do samochodów: kina dla samochodziarzy, banki, bary, pralnie chemiczne, kościoły — także dla automobilistów, nawet do trapiarni krewni mogą zajrzeć nie wysiadając z samochodów...

Jeśli tak wysoko rozwinięty i potężny kraj, jakim są Stany Zjednoczone, nie zdołał stworzyć miasta, w którym każdy mógłby żyć w przyzwoitych warunkach, to czy może tego dokonać państwo socjalistyczne? Na to pytanie odpowiada publicysta londyńskiego czasopisma „Geographical Magazine”:

„Likwidacja prywatnej własności ziemi w warunkach socjalizmu położyła kres wielu źródłom nierówności. Jasne, iż socjalizm stwarza nieporównanie więcej możliwości dla wszechstronnego planowania miejskiego. Życie we współczesnym socjalistycznym mieście w wielu ważnych dziedzinach różni się od życia miasta kapitalistycznego. Z wielu historycznych powodów szybka urbanizacja, na przykład w Związku Radzieckim, zbiegła się z industrializacją w środku lat dwudziestych, a we Wschodniej Eu-

ropie po 1950 roku. Rozwojowi socjalistycznego miasta towarzyszył rozrost masowego transportu publicznego.

Rządy państw socjalistycznych odziedziczyły bardzo zróżnicowaną, wielonarodową kulturę, rozwijającą się na przestrzeni całych stuleci. Oprócz tego, na postępowanie ludzi wywierały wpływ zarówno tradycje religijne — prawosławna, katolicka, protestancka, muzułmańska — jak i różne systemy społeczne — od rozwiniętego kapitalizmu do prymitywnego feudalizmu. Wszystko to uwarunkowało się na ulicach miast. Naczelnym zadaniem rządów i organów planowania było zespolenie rewolucyjnego rozwoju społeczeństwa z historycznym dziedzictwem, a także mobilizacja wszelkich środków na urzeczywistnienie wielkich planów rozwoju ekonomicznego i socjalistycznej przebudowy. Setki małych miast i dziesiątki dużych — Praga, Łódź, Kraków — są żywym świadectwem tej polityki. Nędza, rudery, ostre społeczne kontrasty zostały usunięte.

Obszary zabudowane w epoce przedsocjalistycznej, po nacjonalizacji prywatnej własności, stały się własnością państwa. Zlikwidowanie spekulacji ziemią i nieruchomością sprzyjało racjonalnemu użytkowaniu ziemi, do czego przyczyniało się również planowe zarządzanie ekonomiką. Struktura socjalistycznego miasta jest dostosowana do potrzeb i ideałów nowego społeczeństwa. Szereg lokali handlowych przystosowano do nowych zadań, do byłych, czysto handlowych rejonów miasta, wtargnęły księgarnie, nowe kulturalne, polityczne i społeczne organizacje. Jest to szczególnie widoczne w Tbilisi, Zagrzebiu i w innych miastach, które uzyskały statusy stolic, a także w Katowicach, Poznaniu i innych ośrodkach polskich województw.

Dwie kluczowe zasady określały zmiany warunków mieszkalnych: prawo wszystkich ludzi pracy i ich rodzin do dobrego mieszkania za niski czynsz oraz konieczność ograniczenia czasu, energii i środków, które traciło państwo i masy pracujące na dojazdy do pracy. Chociaż tradycyjny tramwaj pozostał nadal efektywnym środkiem lokomocji na krótkich dystansach, to jednak rosnąca gęstość zaludnienia przeciążała infrastrukturę i służby publiczne do norm niedopuszczalnych przez rządy socjalistyczne. Normy te są bardzo wysokie: każdy obywatel, niezależnie od rasy i pici, powinien mieć równe prawo do pracy, taniego mieszkania, odpoczynku, wykształcenia, usług kulturalnych, lekarskich i bytowych.

Masowa rekonstrukcja i budowa nowych miast, ich ogromny rozwój, stworzyły krajom Wschodniej Europy i Związkowi Radzieckiemu unikalną możliwość zastosowania zunifikowanych planowych koncepcji i norm w celu osiągnięcia wspomnianych wyżej celów. Polacy, na przykład, mimo przerażających zniszczeń w II wojnie światowej i gwałtownego wzrostu liczby ludności z 25 milionów do 35, wybudowali od 1950 roku w swoich miastach 4 miliony mieszkań, 7.500 szkół, 150 szpitali, otworzyli 200 muzeów i uruchomili 105 tysięcy poradni, w których podwojono liczbę ordynujących lekarzy. Konieczność zespolenia domów mieszkalnych z przedsiębiorstwami sfery usług zrodziła koncepcję mikrorejonu. Od 1958 roku stała się ona ogólną, fundamentalną, ale gęstą jednostką w planowym rozwoju miasta. Wybudowane na przedmieściach mikrorejonu projektowano na 4-8 tys. mieszkańców, zamieszkałych w wielomieszkaniowych domach. Mieszkania spółdzielcze zamieszkuje rodziny z wyższym uposażeniem. Ale to zróżnicowanie jest bez porównania mniej dostrzegalne niż w miastach kapitalistycznych, ponieważ sprawy przydziału mieszkań reguluje prawo, a różnica w uposażeniu jest związana niemal wyłącznie ze statusem zawodowym.

Foto: Archiwum

Opr. J. CZECH

WOJSKA USA ZA GRANICĄ

(wg danych Pentagonu)

Ogólna liczba: 493.800 żołnierzy.

EUROPA:

Kraje	Obecnie	Zmiany w 1978 r.
RFN	234.300	+ 9.800
Anglia	22.300	+ 1.800
Włochy	12.100	+ 1.900
Hiszpania	8.800	— 200
Turcja	4.800	— 100
Grecja	3.700	+ 300
Islandia	2.800	brak
Holandia	2.200	+ 100
Belgia	2.000	brak
Portugalia	1.400	brak
Inne kraje	800	+ 200
6 Flota	34.800	+ 3.100
Razem:	330.000	+ 16.900

OCEAN SPOKOJNY I DALEKI WSCHÓD

Japonia	45.900	— 300
Południowa Korea	41.600	+ 1.500

Filipiny	14.400	+ 400
Wyspa Guam	8.400	— 400
Tajwan	800	— 200
Australia	700	brak
Wyspa Midway	400	— 400
Inne kraje	200	— 500
7 Flota	25.900	— 2.900
Razem:	138.300	— 2.800

AMERYKA ŁACIŃSKA

Strefa Kanalu Panamskiego	9.200	+ 100
Puerto Rico	4.000	— 500
Guantanamo	2.300	— 100
Razem:	15.500	— 400

INNE REJONY ŚWIATA

Bermudy	1.300	— 200
Diego Garcia	1.200	+ 100
Iran *)	900	brak
Kanada	700	brak
Inne kraje	2.500	— 500
Lotnictwo-	3.400	— 1.700
Razem:	10.000	— 2.300

*) Przed rewolucją w Iranie. Ponadto Pentagon nie uwzględnił tutaj około 40 tys. doradców wojskowych i specjalistów.

(„Nowoje Wremia”)

Na kilka dni przed radziecko-amerykańskim szczytem w Wiedniu (jak wiadomo — spotkanie Leonida Breżniewa i Jimmy'ego Cartera zapowiedziano w czasie między 15 a 18 czerwca) negocjatorzy obu stron pracują przez „24 godziny na dobę”. Pod koniec minionego tygodnia tekst nie był jeszcze całkowicie gotowy, nie ma już merytorycznych spraw wygładza się tylko słowa aby układ SALT II był precyzyjny.

Rozeszły się pogłoski, że prezydent Carter chce przybyć do Wiednia na podpisanie owego ważnego dokumentu z grupą senatorów z obu partii. Ten zabieg — zdaniem prasy amerykańskiej — ma ułatwić przyjęcie układu przez Senat. Pisaliśmy o tym, że wciąż nie brak w Stanach Zjednoczonych przeciwników porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, którzy tym są aktywniejsi im bliżej jest dzień podpisania układu. Oczywiście tego odrzucenie przez Senat miałoby bardzo niebezpieczne skutki, trudne nawet do przewidzenia. Dlatego opinia publiczna jest przekonana, że rozsądek weźmie górę i Stany Zjednoczone nie zaryzykują światowej izolacji.

Po wiedeńskim spotkaniu przywódców obu państw oczekuje się uzgodnień, które pozwolą rozpocząć proces odprężenia międzynarodowego na różnych płaszczyznach. Do tematu będziemy powracać, a teraz skomentujmy wybory powszechne we Włoszech. Nie trzeba przypominać, że rozpisane one zostały przed upływem kadencji parlamentu z uwagi na mnożące się kryzysy rządowe i niemożność uzgodnienia formuły, która by ustabilizowała władzę. Przez trzy lata włoscy komuniści w różnej formie wspierali rząd, mimo iż utworzony on był z chadeków i ze strony swojej partii, nie miał dość głosów w parlamencie. I właściwie przez cały ten okres chadekcy choć w wyborach w 1978 roku otrzymała tylko o 4 proc. głosów więcej niż Włoska Partia Komunistyczna, odma- wiała udziału jej przedstawicielom w rządzie. W takich to oko-

licznościach doszło do ogłoszenia wcześniejszych wyborów. Żadna z partii nie chciała ich, ale innego wyjścia już nie było.

Czerwcowe wybory nie zmieniły układu sił — i partia chadekcy, socjaldemokratyczna i partia komunistyczna straciły pięć głosów, głównie na rzecz partii małych: socjaldemokratycznej i radykalnej. Te dwie ostatnie mimo znacznego przyrostu głosów i mandatów nadal jednak nie mogą odgrywać żadnej poważniejszej roli. W nowym parlamencie partia chadekcy dysponować będzie 262 mandatami, a partia komunistyczna — 201. Natomiast miejsce — z 62 mandatami — lokuje się partia socjalistyczna, a wszystkie pozostałe mają tylko 10 proc. elektoratu (inaczej mówiąc — wybory, niczego nie rozstrzygnęły i problem, które zadecydowały o przedterminowych wyborach, pozostają otwarte.

Prezydent Włoch dopiero roz-

KRONIKA TYGODNIA

początek rozmowy z przywódcami partii politycznych na temat sformułowania nowego rządu — teoretycznych możliwości jest kilka, praktycznych właściwie trzy: albo komuniści wejdą do rządu, albo odnowiona zostanie większość parlamentarna z ich udziałem, albo zjadą się w opozycji. O środkowej ewentualności kierownictwo WIPK nie myśli, stąd nie domagają się aby dwie partie reprezentujące klasę robotniczą miały swych przedstawicieli w rządzie. Na „małżeństwo z komunistami” w rządzie (posługujemy się tutaj słowami Andreottiego) natomiast nie godzi się, jak i poprzednio, chadekcy.

Obserwatorzy piszą z Ravenu, że stary impas w nowym wydaniu z pewnością trwać będzie dłużej, dlatego też nie należy się spodziewać rychłego powołania rządu.

Włoska Partia Komunistyczna, co stwierdziliśmy już powyżej, straciła część głosów — otrzymała o 4 proc. mniej niż w poprzednich wyborach. (Z tamtego jednak przyrostu zaczęła 3 proc.). Zastanawiając się nad powodami — niektórzy komentatorzy twierdzą, iż sprawiło to rozczarowanie wspieraniem chadeckiego rządu, który nie mógł nie zalać. Powtarzamy te opinie, ponieważ może ona odegrać pewną rolę w rozwiązywaniu obecnej sytuacji.

Kolejny kryzys rządowy rozpoczął się w Portugalii, gdy rząd Carlosa Monta Pinto złożył rezygnację, będąc przekonany, że „nie przeżyje” głosowania w parlamencie. Dwie partie: socjalistyczna i komunistyczna złożyły bowiem wnioski w sprawie wotum nieufności. Pierwsza formułując zarzuty nieefektywnej działalności i naruszenia politycznej neutralności, druga — oskarżając rząd o spowodowanie

obniżenia stopy życiowej ludności, reprimatywałe niektóre galeje przemysłu i zwrot ziemi posiadaczom.

Prezydent przyjął dymisję, ale też zakomunikował, że „tytułowy” gabinet pełnić będzie funkcje administracyjne do czasu zbliżenia nowego.

Rząd Pinto nie przetrwał długo — zaledwie sześć miesięcy.

Był on najbardziej konserwatywnym rządem od rewolucji portugalskiej. Przypuszcza się, że wobec niemożności trwałego rozwiązania i tym razem prezydent powołał gabinet przejściowy i w ten sposób dotrwa do przyszłego roku kiedy to muszą się odbyć wybory.

A więc i w Portugalii brak perspektyw na szybką stabilizację.

W. SŁAWSKI

JERZY JARNIEWICZ

skąd wracasz
który nigdy nie wstałeś od stołu
marmurowy kot na twoich kolanach
zabrudzony śliniak pod szyją łopocze na wietrze

dokąd idziesz
który dopiero wróciłeś
z wędrówki na czworakach po dachu twojego więzienia
marmurowy kot uwiązany na smyczy

dokąd zasypiasz
który się nigdy nie zbudziłeś
nie powstałeś z łona czekając aż cię ono samo wypłuje
tuż pod łapy marmurowego kota

kogo się wstydzisz
który patrzy tylko w pokrzywione twarze luster
i w puste oczodoły
marmurowych kotów

nie oddawaj do pralni przepoczonej koszuli
niech zostaną soki przy owocach

nie zmywaj soli ze skóry buta
niech wypłyną białe wyspy na niespokojnym oceanie

nie wyrzucaj brudu zza paznokci
niech znajdzie schronienie na poduszce palca

nie strząśnij kurzu z sandałów
niech pamiętają ile dróg zdeptałeś

bo kiedy zaczną ważyć
może zabraknąć tobie jednej kropelki potu
aby opadła szalka

MIĘDZY

gdzie ja się tu zmieszczę
między stroną pierwszą a ostatnią
między kołami a asfaltem jezdni
między zielonym a czerwonym światłem

gdzie ja się tu zmieszczę
między białe pasy na przejściu dla pieszych
między horyzonty pary krawężników
między na a zawsze

1 nagroda na konkursie literackim o „Czółenko Tkackie” w 1979 r.

ZDZISŁAW BOGUSZEWICZ

Każdy z nas jest uchwycony
w prostokąt marzeń
w obszar który dobrzy ludzie
nazywają poezją
inni nie wierzą w istnienie wierszy
a przecież
domy budują ze skorup poematów

Każdy z nas jest uchwycony
w kropkę lzy
wstydzimy się uczuć
rzeczy dziecka ludzi
własnej twarzy
która spada na wiersze jak na kłamry legend
jak na pozornie
nie znaczące słowa:
— Człowiek
— Miłość
— Ziemia

lecz pamiętajmy
że nasze pięty
poza obszar poezji wystają

MAŁE ŻYWIÓŁY

Podzieli się pecherzykiem powietrza
kropką wody gojącej rany
lecz przeznaczenia
nie przesunę w inne miejsce
choćbym marzenia ściegił głowy
zrównał z prawami polączonej z szczył
fakty zdegradowały mnie
do rzeczywistości nieszczelnych komórek mózgowych
...bo tyle tylko ognia z pożaru zostało
że mogę w garści zmieścić
ledwie tłacz się płomień
idąc w katakumbach relanium

ZADUMA

Ktoś kto odchodzi w milczeniu z areny
nie musi być winien śmierci chorych zdań
łamania otaczających murów
zburzenia krzyku
zgłoszenia ledwie słyszalnego szeptu
słów do krwi
paznokciami jak twarz podrapanych

Nie musi być winien
kompleksów wyrzanych niebu
ciężaru kamienia, w który
chleb się przemienił a ciało wyrzekło

II nagroda w konkursie literackim o „Czółenko Tkackie” w 1978 r.

Długo trwało, zanim zdobyłem ten pokój. Obszedłem przedtem wszystkie internaty w Łodzi — wszędzie mówiono mi to samo: „Nie ma miejsca”. Gdybym był studentem, może udałoby się dostać miejsce w akademiku, ale jako uczeń nie miałem szans. Kilka dni mieszkalem nawet w domu przeznaczonym do rozbioru, z którego nie wyjęto jeszcze drzwi i okien. Wiedziałem, że mogę podpaść, jeżeli wykryją moją obecność, nie mogłem też nic zostawić w tym domu. Z początku nosiłem swoje rzeczy z sobą, zanim odważyłem się poprosić kolegę o ich przechowanie. Balem się, że mnie wysmieją — to przecież głupia sprawa. Tymczasem Jacek okazał mi prawdziwe zainteresowanie. To on wynalazł „super okazje”, jak to nazywał, to znaczy pokój w mieszkaniu, którego właścicielka wyjechała na dłuższy czas z Łodzi. Nie chodziło jej nawet tak bardzo o pieniądze, jak o to, żeby sublokator był „porządny”.

Pokój był jako tako umebłowany, wchodziło się do niego z długiego korytarza, gdzie znajdował się kran i zlew. Tutaj właśnie lokatorzy spotykali się parę razy dziennie, a czasem ucinali sobie pogawędki. Namietności rozpalały się przy spornych kwestiach zanieczyszczania zlewu i podłogi. Wtedy słyszałem długie, do niczego nie prowadzące dyskusje... „A bo pani to by chciała... A pani to nie leje? Leje, ale nie takie brudny! Jak się leje takie brudny, to trzeba po sobie potoknąć”.

To, że nareszcie miałem „dach nad głową”, pokrzepiło mnie na duchu. Zaczęłem nawet lubić szkołę, która początkowo wydawała mi się pełna zasadzek, zacząłem też czuć się lepiej wśród kolegów i w nowym miejscu zamieszkania. Poznałem już niektórych lokatorów, kłaniałem im się, chociaż nie byłam pewny, czy wiedzą, kim jestem i co tu robię. Może dlatego starałem się chodzić po wodę wtedy, kiedy nikogo nie było na korytarzu. Czasem nawet przez szparę w drzwiach obserwowałem, czy nikt nie wychodzi i dopiero wówczas chyłkiem biegłem do kranu.

Nie zawsze jednak udawało mi się uniknąć spotkań z sąsiadami, którzy zresztą nie interesowali się mną tak bardzo. Pewne zainteresowanie okazywała mi moja sąsiadka z przeciwka. Była to kobieta w nieokreślonym wieku, raczej jeszcze młoda, wysoka, o utlenionych włosach. Często wychodziła na korytarz w rozwiewającym się szlafroku, który głęboko odsłaniał dekolt i opinał pełne biodra. Uśmiechała się do mnie w taki sposób, że rumieniłem się jak dziewczyna.

Przy końcu korytarza mieszkał samotnie pewien starszy mężczyzna. Nie lubiłem go spotykać. Wydawało mi się, że w jego oczach widzę jakby mimowolny wyrzut, że dla mnie dźwięnienie wiadra z wodą było fraszką, on zaś nabrał wody tylko do połowy naczynia. Drażnił mnie jego wzrok wlepiony we mnie z jakąś krytyczną — zdawało mi się — uwagą.

— Tak, młody człowieku — powiedział pewnego razu — nie zawsze było mi tak trudno unieść wiadro wody. Kiedy byłem taki młody jak pan... Nie odezwałem się wtedy. To jasne, że kiedyś był młody i silny.

— Tak, tak — westchnął odchodząc — jest pan jeszcze w wieku, kiedy się tego nie rozumie.

Przystanął i odwracając głowę dodał z uśmiechem niepodobnym jednak do prawdziwego uśmiechu:

— Wie się, tak, ale się tego nie pojmuje.

Od tego dnia zaczęła się nasza znajomość. Wyglądała ona tak, że ja starałem się go unikać, a on, kiedy się na niego natknąłem, zawsze do mnie zagadywał. Nieraz nawet, kiedy wracałem do domu, uchylał drzwi, kiwał do mnie porozumiewawczo głową i mówił: „Jak tam w szkole?” albo: „Jak tam na dworze?” Bo zdaje się, że nie wychodził. Odburkiwałem w odpowiedzi: „Aa dobrze, jakoś tam idzie, poprawia się” — czy coś takiego.

To, że mógł nie wychodzić z domu przez cały dzień, wydawało mi się wstrętnym lenistwem. Mój ojciec nie był chyba dużo od niego młodszy, a ciągle jeszcze najważniejsze prace w gospodarstwie nie odbywały się bez niego. W swo-

jej dobrej chwili mógł się chyba nawet mierzyć z moim bratem, z którego jest przecież tegi kawał chłopca.

Staruszek zdawał się nie uważać mojej niechęci, czy też nie zważał na nią, a może brał ją po prostu za brak okrzestania.

Pewnego dnia pomogłem mu przy nabieraniu wody, bo wiedziałem, że idzie mu z tym gorzej niż zwykle. Niespodziewanie chwyciwszy za klamkę mój staruszek zachwiał się i oparł bezwładnie o drzwi. Stał tak z rozkrzyżowanymi rękami i dyśzał. Postawiłem wiadro na podłodze i chociaż w duchu kłamałem go w żywy kamień, spytałem: „Co panu? Chory pan?”

Zrobił nieokreślony ruch ręką. Nie pytałem więcej, wziąłem go pod ramię, wprowadziłem do jego mieszkania i pomogłem położyć się na łóżku.

IRENA GALICKA

TEN STARY CZŁOWIEK

Chwilę stałem nad nim nie wiedząc: odejść czy zostać. Było mi dosyć głupio.

— Już panu lepiej? — spytałem po chwili chcąc się jak najszybciej wycofać.

Zwrócił na mnie swoje nieprzyjemne oczy.

— Spiesz się pan — powiedział odwracając głowę — a ja pana zatrzymuję...

Byłem zły na siebie, że nie umiem zakończyć tej sprawy tak jak trzeba, to znaczy odwrócić się i odejść.

— Czy już... — zacząłem. Przerwał mi od razu.

— Dobrze to ja się nigdy nie czuję i nigdy nie będę czuł... — Czemu nie — powiedziałem mało przyjaźnie — mój ojciec nie jest dużo młodszy, a jeszcze ciągle czuje się zupełnie dobrze... Zupelnie...

— Ojciec? — Zwrócił się znów do mnie. Kiedy był odwrócony, mogłem czuć do niego jakiś rodzaj litości. Wobec jego upartego, niemiłego spojrzenia ponownie wszystko się we mnie zjeżyło przeciw niemu.

— Tak, mój ojciec. Przez chwilę mówiłem o ojcu, o jego pracy i zdawało mi się, że staruszek słucha tego wszystkiego bardzo uważnie.

— Mój syn — powiedział nieoczekiwanie nie spuszczając ze mnie wzroku — miałby teraz chyba tyle lat co pan. Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia. Niecałe. — O, to mój syn byłby starszy... Byłby starszy...

Ułożył się na plecach. Poczulem się trochę nieswojo, bo leżał wyciągnięty jak / nieboszczyk.

— Gdzie jest pana syn? — Mój syn nie żyje — powiedział zwyczajnie, bez najmniejszego wzruszenia, jakby mówił o jakiejś potocznej sprawie. — Mówię, że nie żyje, ale naprawdę to nie było tak... tak normalnie. Mój syn został zabity. To było podczas wojny.

Zachnąłem się. Wojna to stare dzieje. Te czasy dawno już minęły. Dlaczego oni ciągle do tego wracają, wciąż mówią o wojnie, jakby się to działo niedawno. Ja urodziłem się po wojnie i tamte czasy to dla mnie już zamierzchła historia. Nieraz przysłuchiwałem się opowiadaniom o tamtych czasach. Ludzie wylizali wtedy: ten zginął, tamten zginął, a czasem mówili inaczej: tego wzięli, tamtego wzięli, ale ktoś tam wrócił. Wrócił z samego piekła, z gorącego, rozpalonego piekła.

— Pana pewno wcale nie interesuje to, co mówię? — Nie, dlaczego...

Sam nie wiem, czemu usiadłem, jakbym chciał pokazać, że wysłucham chętnie nawet najdłuższej historii.

— Widzi pan, dlaczego ja o tym mówię... Kiedy tak na mnie patrzył, wydawało mi się nagle, że widzę w nim jednak coś młodego. To były oczy, coś w nich, tak, jakieś światłoko, błysk zrenic.

Wydawało mi się nawet, że jego twarz nie jest wcale taka stara, była raczej znekana jak twarz człowieka chorego.

— Mówię panu dlatego, żeby... żeby... Jak by to panu powiedzieć... Żeby się pan nie bał — dokończył wreszcie i położył się znowu na plecach, jakby go to bardzo zmęczyło.

— Żebym się nie bał? Czego? Wojny?

— Nie, nie, żeby się pan nie bał... Czego? Życia czy śmierci...

— Życia? Życia się nikt nie boi. A śmierci... to jest chyba zwykła rzecz, że człowiek boi się śmierci...

Spojrzał na mnie z boku, potem westchnął czy też sapnął, i znów patrzył w sufit. Zaciśnął i otwierał usta.

— Powiem panu wszystko. Wszystko już było. Ja wtedy byłem jeszcze młody, moja żona też była młoda. Mieliliśmy

ten człowiek leży tu udęczony sam sobą.

— Przeżyć — zaszemrał znów — ale za jaką cenę? Miec ciągle wyrzuty, że zawiodłem, że ich w pewnym sensie zdradziłem, opuściłem w takiej chwili...

— Nie — powiedziałem prostodusznie nie wiedząc właściwie, czy się z nim zgadzam, czy nie. — Według mnie nie ma nic złego w tym, że się człowiek uratuje, jeżeli nie dzieje się to cudzym kosztem. Nawet jeżeli jego najbliżsi zginą. Gdyby trzeba było narażać życie dla czegoś ważnego, gdyby to było komuś potrzebne, miało jakieś znaczenie, ja sam nie zawahałbym się. Wtedy, tak. Ale jeżeli to nie było potrzebne... Przecież pan by im nic nie pomógł.

W miarę jak mówiłem, nieoczekiwanie sam zacząłem upewniać się coraz bardziej w przekonaniu, że rozumiem słusznie. To jest proste i jasne.

— Przecież dużo ludzi straciło rodziny — powiedziałem z naciskiem. — Mój wujek, na przykład, stracił całą rodzinę.

Staruszek uniósł się na łóżku, jakby chciał wstać. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami pytająco.

— No i ożenił się drugi raz, ma dzieci. To jest zwyczajna sprawa.

— Ożenił się, ma dzieci — powtórzył i wolno ułożył się z powrotem na łóżku.

— Tak, ma pan rację — powiedział po chwili patrząc gdzieś w sufit. — Ma pan rację. To jasne. Ale jednak... To tylko dla was jest proste, ale nie dla nas. Nie, nie dla nas. Widzi pan, są tacy ludzie, którzy boją się życia. Spytaj pan — czego się boją? Czego... Jedni, na przykład, boją się, żeby się komuś nie narażać... komuś stojącemu wyżej od nich. Rozumie pan?

Ogarnęła mnie złość. Nie, powiedziałem sobie, nie dam się weciągnąć w te jego biadolentia. Co on sobie myśli? Że ja czekam na jego nauki! Nie trzeba się bać. Pewnie, że nie trzeba się bać. Jasne. I ja się nie boję. Życia w każdym razie nie. Na pewno. A może to życie, jakie mieli, tak ich ukształtowało? Może to życie zrobiło ich takimi? Rozwinięło w nich przede wszystkim strach.

Staruszek zamknął oczy. Jego chuda, pomarszczona twarz wyglądała teraz jak twarz człowieka, który stracił przytomność. Tego tylko jeszcze brakowało — pomyślałem ze złością — żeby mi tu zasłabił na dobre, albo nawet wyzionął ducha!

Podniosłem się i pochyliłem nad nim. Niespodziewanie otworzył oczy. Widziane z bliska wydały mi się jakieś inne, nie umiem określić jakie. Było w nich coś natarczywego i żalostnego zarazem. Nie wiem, dlaczego miałem wrażenie, że coś się przede mną odkrywa, że zaczynam zagłębiać się w sprawę, o których dotąd nie miałem pojęcia. Uświadomiłem sobie naraż, że właściwie podstawowe sprawy życia były dla mnie dotychczas proste jak dzień i noc, jak zima i lato. Po raz pierwszy pomyślałem, że może nie zawsze są takie, że może w człowieku jest jeszcze coś innego, coś, co dochodzi do głosu w szczególnych chwilach życia. I że ten człowiek chciał mi o tym powiedzieć, ale nie mógł, lub nie umiał. To co mówił, nie miało żadnego znaczenia. Za tym kryło się coś innego, coś przemilczanego i nieporównanie ważniejszego.

Cofnąłem się.

— To ja już pójdę — powiedziałem po chwili. Przy drzwiach zawahałem się jednak.

— A może wezwać doktora? — Odwrócił się ode mnie. Zamachał ręką.

— Nie, nie trzeba. Do widzenia panu.

Opowiadanie otrzymało II nagrodę (I nie przyznano) na konkursie literackim o „Czółenko Tkackie” w 1979 r.

Dalszy ciąg ze str. 1

powstała; obraz, na którym można by również zauważyć znak czasu.

II

Niepokój jest zegarem, on czas
ludziom stwarza;
Kto umorzył niepokój, wnet i czas
umarza.
(Adam Mickiewicz)

Współczesna literatura wyraża emocje w stopniu o wiele wyższym, niż się to na ogół przypuszcza. Istotną rolę w tym względzie odgrywa sytuacja egzystencjalna współczesnego człowieka, określana z jednej strony nie notowanym w dziejach rozwojem nauki i związanej z nim perspektywą poznawczą, z drugiej zaś równie nie notowanym w dziejach zagrożeniem, tkwiącym — skrótowno mówiąc — w nuklearnym arsenale. Sytuacja ta inspiruje z nową mocą stawianie pytań o istotę człowieczeństwa, wzmaga zainteresowanie zarówno treścią, jak i formą, życia współczesnych. Potęguje moralną i intelektualną odpowiedzialność pisarza, nie pozwalając zapomnieć o posłannictwie artysty.

W „Głębokich źródłach” Wanda Karczeńska stwierdziła:

„Wielu z nas, pisarzy, posiadało niejasne, może nawet błędne, a co najmniej zamrożone pojęcie o istniejącej rzeczywistości. A przecież nawet martwa materia podlega przemianom, a coś dopiero żywa społeczność ludzka (...). Zapominamy, że każdą rzeczywistość materialną i ludzką poznajemy niedoskonałym aparatem poznawczym, przeżywamy odrębnym systemem uczuciowym, oceniamy własnym, więc stronnictwem wartościowaniem, a zapominając o tym, często uznajemy za słuszne tylko własne widzenie, poznanie i wartościowanie”.

Fragment ten, wbrew pozorom, nie podważa miejsca pisarza w naszej społeczności, wręcz przeciwnie — odśladając trudności, jakie pisarz napotyka w swym twórczym wysiłku — uzmysławia jego powagę. Mamy więc do czynienia z pojmowaniem zawodu pisarza, jako swego rodzaju tęsknoty do „rzędu dusz”, z traktowaniem literatury, jako ważnej dziedziny społecznej aktywności. Pisarze, w których utworach sprawy te dochodzą do głosu, nie traktują literatury jako gościńca, po którym przechadza się życie, traktują ją raczej, jako ścieżkę wiodącą w głąb jaźni — poszukują najbardziej utajonych myśli, odsłaniają najgłębiej skrywane emocje. Nade wszystko zaś koncentrują się na własnym procesie twórczym. Zdają się powiadać: jeśli jako pisarz mam prawo, czy obowiązek przemawiać w imieniu całej społeczności, to muszę przede wszystkim sprawdzić, czy w istocie rzeczy jest literatura, na ile może być ona pomocna w procesie edukacji społecznej, w jakim stopniu może stanowić interwencję w sprawy pozaliterackie, w jakiej zaś mierze jest dziedziną autonomiczną. Jeśli mam mówić o społeczeństwie, to muszę przede wszystkim sprawdzić, czy jest człowiek jako jednostka, jakie powodują nim niepokój, ku czemu stara się zęglować. A jeśli mam zajmować się jednostką — najlepiej mogę to czynić na własnym przykładzie, pozwolić sobie na wivisekcję.

Niepokoje artystów pióra zwracają się w różnych kierunkach i rozmaite przybierają postaci. Nade wszystko jednak są znakiem czasu, wyrażają konkretną epokę. U ich pod-

łoża tkwi najczęściej apokaliptyczne doświadczenie drugiej wojny światowej, hekatomba okupacji. Ślady tego niepokój znajdziemy u większości autorów. U niektórych przybiera on postać twórczej obsesji (np. Leon Gomolicki, Bernard Sztajnert). Problem: w jaki sposób okupacyjne doświadczenie warunkuje dzisiejszą egzystencję ludzi, tych zwłaszcza, którzy okupację przeżyli, nabiera na kartach ich utworów coraz to nowszych aspektów. Nie można jednak

cji ucznia bez przerwy chłonnego wiedzę o świecie.

Niepokoje artysty, poczuwającego się do odpowiedzialności za świat, a jednocześnie świadomego swych ograniczonych w tym względzie możliwości, coraz częściej dochodzą do głosu w twórczości prozaików młodych, niedawnych debiutantów. Pytania o miejsce wstępującego w życie artystyczne twórcy, o miejsce sztuki w hierarchii zjawisk, stawiane są nieraz z pozycji groteski, wy-

Pisarze stosunkowo chętnie podejmują problematykę obyczajową, w obyczajach bowiem znajduje odzwierciedlenie, moralna świadomość jednostki i społeczeństwa. Można pisać o tym zawiłe traktaty z trudem mieszczące się w kanonach literatury pięknej, można też opowiadać o obyczajach z lekkim przymrużeniem oka — bawić i uczyć zarazem. Ta druga postawa zdaje się obecnie dominować w prozie obyczajowej. Powieści traktujące o obyczajach naszego cza-

ścia (np. w „Dzbanku życia” Tadeusza Chróścielewskiego), poprzez kryzys pojęcia małżeńskiego (np. w „Końcu sezonu” Wiesława Jażdżyńskiego, „Miłości i medycynie” Edwarda Kopczyńskiego, czy w „Człowieku na peronie” Tadeusza Głogiera), do rozmaitych niespełnień i tęsknot (np. w powieści „Cudza miłość, cudze cierpienie” Władysława Orłowskiego).

Kryzys uczuć przedstawiany jest zazwyczaj nie w oderwaniu, lecz w połączeniu z innymi niepowodzeniami życiowymi — oto w doskonale do tej pory funkcjonującym mechanizmie coś się nagle zaczyna i stawia pod znakiem zapytania dotychczasowe sukcesy bohatera. Sztuka życia okazuje się umiejętnością bardziej skomplikowaną niżby to wynikało z dotychczasowych przekonań niejednego bohatera powieściowego. Zależy przecież od wielu elementów, nie tylko od uczuciowości i bezgranicznej wiary w sprawiedliwość. W życiu niezmierznie rzadko mamy do czynienia z prostym podziałem na dwie strony barykady, na czarne i nieskazitelne charaktery. Ludzkie postawy są niepo prostu bardziej skomplikowane, uzaledunione od rozmaitych czynników. Zofia Lorentz, Maria Siwińska, Janusz Skoszkiewicz, Eugeniusz Iwanicki stosunkowo chętnie odsłaniają codzienne maski, czy przyzwyczajenia swych bohaterów, pozabawiając ich zachowanie ustalonego rytuału, kompromitując rutynę i bezwład, pragną wzbudzić nieufność wobec pozorów.

Jak pisze Wacław Biliński w „Ika-

nach”: „W ich wozie czworo ludzi nie wiąże żadna zbrodnica tajemnica. Nie oni zabili na drodze samotnego rowerzystę. A przecież samochód pełen jest strachu. Dlaczego? Wszyscy się boimy, myśli Halina. Może nawet nie chodzi o tamtego pozostawionego na szosie człowieka. Boimy się, że zostaniemy zdemaskowani. Maski. Udawanie. Pozory. Udamy porządných ludzi. Stefan, pokazowy moralizator. Zakochałam się w nim, bo był taki odważny! Nieustraszone w głoszonych sądach! Zyga, gentleman polskiego sportu. Ja, tak wyczulona na punkcie etyki. Tylko Irena, czarła owca, przynajmniej nie pozuje na cnotkę...”

Niestabilność obyczajów powoduje niekiedy zwrot w stronę przypowieści bulwersujących — wymownym przykładem może być tutaj „Powrót wabiszczura” Andrzeja Makowieckiego. Niestabilność obyczajów jest również jedną z przyczyn żywotności tzw. literatury marginesu społecznego. Od lat pisarze mitologizują tę sferę życia, jako obszar, w którym odnaleźć można takie wartości, jak przyjaźń, wierność, autentyczną więź międzyludzką, poczucie honoru. Teskniecie za wspomnianymi wartościami towarzyszy destrukcyjność opisu, fascynacja egzotyką i przygodą, chęć przedstawienia prawdziwego „krwistego” życia. W środowisku łódzkim z nurtem tym związane są książki Andrzeja Makowieckiego, Ryszarda Binkowskiego, a także debiut Andrzeja Sroczynskiego. Nie ograniczają się oni tylko do środowiska marginesu, poszerzają pole obserwacji, starają się przeprowadzić analizę zjawisk społecznych, nie poprzestając na sentymentalnym opisie.

(dokończenie w numerze następnym)

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Referat wygłoszony podczas sesji literackiej „Obraz Polski lat siedemdziesiątych w prasie”, która odbyła się 17 maja br. w ramach Dni Literatury w Łodzi.

WOLA POROZUMIENIA

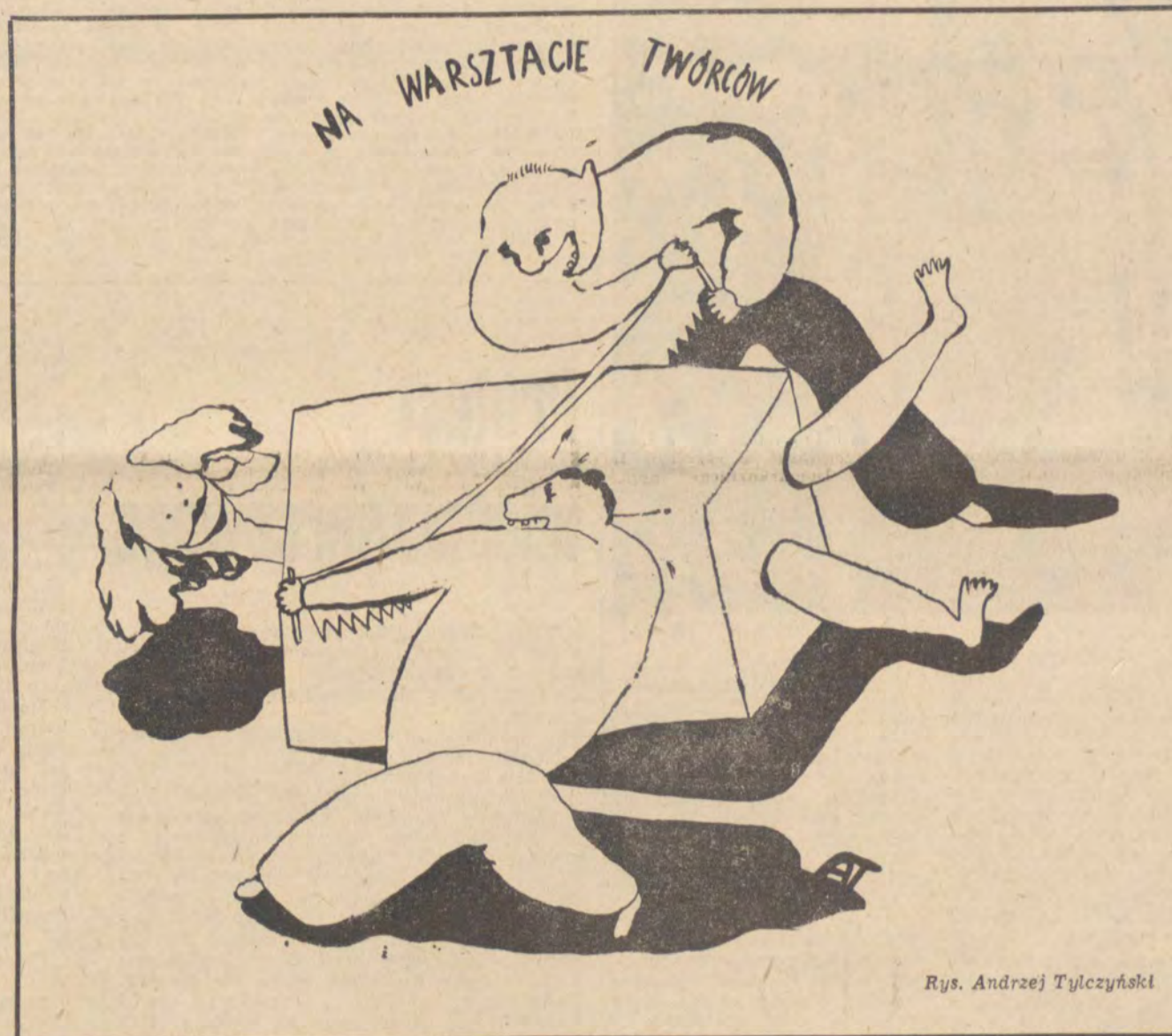
bez przerwy żyć przeszłością. Życie idzie naprzód, zabliźnia rany. I pojawia się problem inny: w jaki sposób wyrazić całą złożoność naszego czasu, jak przy pomocy twórczości literackiej rozpoznać człowieka i otaczającą go rzeczywistość? I pisarze próbują szukać odpowiedzi, a jednocześnie uczulają, uwrażliwiają czytelnika, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia, iż jest współodpowiedzialny za kształt świata, za kształt kraju, za kształt najbliższego otoczenia. Gomolicki rolę twórcy widzi w ucziwym stawianiu pytań: Karczeńska powiada, że najwyższą wartością jest dobrze przeżyte, aktywne i twórcze życie ludzkie; Sztajnert stawia siebie i czytelnika w situa-

nikającej ze zderzenia młodzieńczej bezkompromisowości z ograniczoną rolą artysty we współczesnym świecie (np. Krzysztof Skudziński „Rekolekcje dla głuchoniemych”, Marian Misalski „Równowaga chwiejna”, Andrzej W. Mikołajewski „Portret znajomego”).

Literatura okazuje się więc nie tyle zwierciadłem otaczającej nas rzeczywistości, co raczej artystyczną i moralną inspiracją, zbiorem sytuacji i wskazówek, wśród których każdy czytelnik doszukać się może czegoś dla siebie.

III

Dzielne mamy obce
(Mikołaj Biernacki)



Rys. Andrzej Tyłczyński

HENRYK HARTENBERG

ZASZUMIAŁ LAS
SOSNOWY

Przyśnił mi się las
Sosnowy las
Drzewo z sosnowego lasu

W południe
Pod moje okno przywędrował las
Cały w korzeniach lasu
Wieczysty las

I zaszeleścił w szybach las
I zaszumiał las
I zakwitł nagle stubarwny las
Sosnowy las

I patrzę na mgłą zasnuły las
Na stubarwny mroklivy las
Na siostry lasu
Na las

I wrosłem w las
W szumiący las

W dzwonienie lasu
W zielony senny las

A potem
Mrok już objął las
I pierwszą gwiazdę płonącą w lesie
I ciebie nagą na skraju lasu

Kiedy cisza wejdzie w las
W ten stubarwny wieczny las
Zbijcie mi trumnę z sosny
Niech szumi we mnie las

Sosnowy las
Ojczyście las
Las

NATURA

Jesteś jak ta ziemia
W którą uderzył piorun otwierając
Prawiecznie rzeki ukryte
Na samym dnie krągłości
Świata

Jesteś jak ta ziemia
Z której wycieka ocean zielonej krwi
Dająca życie wszystkim drzewom

Trawom i pagórkom, wszystkim dzwonom
Bramom i ptakom spieszącym tam
Gdzie sanktuarium ciszy
Gdzie wyspy szczęśliwe

Jesteś jak ta ziemia
Pełna oczekiwania i niepokoju
Tak bardzo zuchwała i tak ufnie
Otwarta
Na uderzenie gorącej lawy
Krańców w mroklivy korzeniach
Brzemiennych w krzyk „własnego milczenia”
W jutrzejsze zabląkanie

Jesteś jak ta ziemia
Kryjąca w swym wielokształtnym łonie
Wszystkie złudzenia i nadzieje
Wszystkie rozczarowania i zmienności
Człowieka
Ale zawsze płodna i zawsze nie tknięta
Przychodząc z oddechu żywicy
Spływającej kropla po kropli na wilgotne
Plamy krwi
A potem „świeżością rzeki we śnie”
Rozcinasz noc tak, jak się rozcina
Błone oczekiwania
I łagodnością ciała wypelniasz
Wszystkie przepaści

Jest to czas, kiedy trawy płoną
Ogniem tworzenia
Kiedy w szczelinach ziemi huczą rzeki
Jeszcze nie narodzone

Choć dookoła trwa cisza
Prawiecznie

Jak to nigdy nic nie wiadomo! Czy przypuszczał Jarostaw Iwaszkiewicz, pisząc swoje felietony w „Nowinach Literackich” — efemerydzie czasopiśmienniczej lat pierwszych — że trzydzieści lat później staną się one wzruszającą, piękną kroniką refleksji i wydarzeń?

„Nowiny Literackie” znam z autopsji. Zbyt trudny, pokrętny i niezrozumiały był dla ówczesnego nastolatka styl „Kuznicy” i „Odrodzenia”. Także graficznie pisma te nie wyglądały zachęcająco — co powinno być przestrogą dla każdego redaktora, bowiem sprawa wystroju gazety jest niezwykle istotna.

„Nowiny Literackie” — na co słusznie zwraca uwagę Kazimierz Koźniewski — drukowane były elegancko, z dbałością o króć czcionki i kształt kolumny. Może dlatego tak dobrze pamięta to pismo ówczesny nastolatek, choć ukazywało się ono zaledwie półtora roku?

Czytam dziś — po latach trzydziestu — tamte, historyczne już felietony Iwaszkiewicza — i nie mogę się oprzeć wzruszeniu. Bo oto znajduję w nich kaskadę uwagi na temat bezceremonialnych — i jakże niesłusznych — ocen poetyckich Sandauera, który miesza tytuły, nazwiska i kierunki w jeden, jakże dowolny, bigos krytycz-

ny. Mój Boże — trzydzieści lat minęło — a Sandauer zawsze ten sam!

Jakże to zresztą wszystko po latach wygląda inaczej! Także niektóre ówczesne oceny Iwaszkiewicza budzą dziś zadumę. Sława i chwala jednak, że wybitny pisarz poddaje je osądowi współczesnego czytelnika. Czytamy więc ironiczne uwagi na temat „Traktatu moralnego”

KRONIKA LAT PIERWSZYCH

drukowanego w „Twórczości”, że „nie tylko rytm, ale i treść filozoficzna” poematu przypomina Iwaszkiewiczowi jakiś dziecięcy wierszyk o kocie Kasperku. Jakże głęboko pomylił się ówczesny felietonista „Nowin Literackich”!

Ale znów — sława i chwala pisarzowi, że z jego felietonem sąsiaduje inny, którego autor dowodzi (po latach okazało się, że to Zbigniew Bieńkowski), iż ambicja „Traktatu” równa jest tej, którą w skali narodowej wyrażają fragmenty „Kwiatów polskich” Tuwima.

I tak jak kiedyś na szpaltach

„Nowin” — tak i teraz na stronach tego zbioru felietonów poglądy się ścierają, polaryzują stanowiska...

I właśnie dlatego „Nowiny” były pismem żywym — i właśnie dlatego tak żywa jest ta książka, stanowiąca felietonową kronikę pierwszych lat Polski Ludowej. I „Traktat moralny” wciąż pozostał żywy, choć — jak pisał niegdyś Iwaszkiewicz

— to tylko „pełne dziecięcej ufnosci gadanie o wszystkim”.

Dziecinna ufnosć jest wszakże przywilejem poety. Któż inny jak nie on napisze:

„Pełen nadziei, że o wiosnie Cudny w tym miejscu kwiat wyrosnie.

A wiosny nima. Zawsze grudzień. Nie rozpraszajmy jednak złudzeń...”

Bowiem także zwątpienia i złudzenia są przywilejem poetów.

Pamiętam „Nowiny Literackie” sprzed lat trzydziestu —

nie pamiętam rzecz prosta, poszczególnych felietonów Iwaszkiewicza. Dziś czytam je ze wzruszeniem, jak kronikę moich pierwszych kontaktów ze współczesną literaturą. Ale także jak kronikę wydarzeń mojej młodości.

W sierpniu roku 1948 na jeździe Gardno niedaleko Słupsk utonęły 24 dziewczęta z łódzkiego obozu harcerskiego. Iwaszkiewicz przypominając to tragiczne wydarzenie — odwiedza moją pamięć tamtego lata, kiedy staliśmy na żałobnych apalach — nastolatki porażone śmiercią rówieśniczek. Na obozach całego Pomorza — od Szczecina po Białą Górę — wciągaliśmy na maszty flagi ze wstęgą krepy.

Splatają się i łączą w tych zapisach sprzed lat — wzruszenie i pamięć, polemiki i oceny, odeszły w mrok nazwiska, sprawy i wartości...

I pozostaje najważniejsze. Szacunek dla rodowodów literatury i jej niezbywalnego prawa do wszelkiej różnorodności. „Sporem o metodę” nazwał Kazimierz Koźniewski swój esej poświęcony „Nowinom Literackim”. Mijają lata i pisma — ten spór jest wciąż nie rozstrzygnięty.

WIDOK

JERZY PANASEWICZ



Tak się uelastyczniał,
Aż sklasyczniał.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

NIECHCIANE TYTUŁY

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Piłkarze, bo wreszcie mają upragnione wakacje i nie trzeba będzie już wybiegać na boisko, aby przez 90 minut udawać, że się gra. Kibice, bo już nie trzeba się będzie denerwować i wsiekać, oglądając kopanie na poziomie klasy bardzo niskiej. Dziennikarze, bo nie trzeba będzie powtarzać w kółko tego samego, udając, że przeprowadza się sprawozdanie z meczu i ligi. Tytuły rozdane, można odpocząć, podłuszczyć kontuzje. Niektórzy pojadą nawet na wycieczki zagraniczne, które są formą nagrody za nie najlepszą formę w wiosennej rundzie rozgrywek.

Z pełnym przekonaniem mogę dołączyć się do gratulacji przekazywanych na ręce Leszka Jezierskiego, który zespół chorowskiego Ruchu wyprowadził z dna tabeli na jej szczyty. Tym samym dowiódł, że tam, gdzie trudno go posadzić o brak trenerskich kwalifikacji, bo tak przecież usiłowano rok temu czynić.

Z gratulacjami dla piłkarzy Ruchu byłabym już bardziej ostrożna, bowiem odniosłam takie wrażenie, jakby oni nie bardzo chcieli tytułu mistrza Polski i pod koniec robili wszystko, aby tytuł ten przypadł Widzewowi. Ale jednak RTS Widzew też nie w ciemno bita, robiła znów wszystko, aby przypadkiem nie zostać wicemistrzem Polski. Niestety, załatwili jej to piłkarze mieleckiej Stali pokonując wysoko Szombierkę.

Nie dziwi mnie to, że najbardziej upragnionym miejscem w ligowej tabeli jest jej środek. Mistrzami i wicemistrzami zostają fajerzy, którzy w czasie ligowych rozgrywek za bardzo się wychylają. Czeka ich później same kłopoty. Z zagranicznymi drużynami nie dają się bowiem grać na stojąco. A wysilek poniesiony w walce w meczach pucharowych i podczas przygotowań do tych meczów grozi nawet spadkiem w lidze. Przykładów na to mamy aż nadto. Krakowska Wisła, która po pucharowych spotkaniach znalazła się na końcu tabeli, mając tylko 9 meczów wygranych, 8 remisowanych i 13 przegranych. Podobnie było ze Śląskiem. Również Widzew, który już był raz wicemistrzem i grał w pucharowych spotkaniach, też miał kłopoty z ligowymi meczami.

Można przewidzieć, że także w przyszłym sezonie, kiedy czołowe i ligi przyjdzie grać z zagranicznymi klubami, ich pozycje w ligowej tabeli nie będą najlepsze. A bierze się to stąd, że i poziom naszej ligi nie jest najlepszy i piłkarzom nie starcza ani siły, ani zapалу do tego, aby i w meczach pucharowych dobrze się spisywać i dobrze grać w lidze. Ligowym ideałem jest średniactwo, a to do niczego dobrego nie prowadzi.

Zupełnie nie wiadomo dlaczego Jan Ciszewski jest optymistą. Młodzi nieudzieli, podsumowując niejako ligowe rozgrywki, powiedzieli, że właściwie sobie niefrasobliwością, że u nas na szczęście nie obowiązują zasady, że jaka liga taka i reprezentacja. A niby dlaczego, nie obowiązują te zasady? Że pokonaliśmy Holandię? W eliminacyjnych rozgrywkach mamy tyle samych punktów co zespół NRD i jeszcze nie wiadomo, jak się dalej potoczą losy naszej reprezentacji, którą Ryszard Kuśza dopiero montuje. Jesienią trzeba będzie się nieco więcej pomęczyć niż wiosną, a piłkarze nie bardzo lubią się męczyć.

Jan Ciszewski pochwalił Widzewa, że grał dobrze. Trudno nie chwalić wicemistrza, ale jeśli wziąć pod uwagę, że tenże wicemistrz w całym sezonie wygrał 14 razy i 11 razy zremisował, 5 razy przegrał, to z pochwałami byłabym raczej ostrożna. Jedenastkę Widzewa na pewno stać na więcej. Tylko, że im się wyraźnie nie chciało. To, co pokazali w ostatnim meczu ze szczytną Pogonią było poniżej wszelkiej krytyki. Było im zupełnie obojętne, czy zajmą drugie, czy trzecie miejsce, i tak będą musieli grać z któryś z zagranicznych zespołów, a to — widać, piłkarzy Widzewa przerażało najbardziej.

Serdecznie natomiast gratuluję Stanisławowi Burzyńskiemu „Złotych butów”, bo jest to bramkarz znakomity i był trochę niedoceniany. Ale fakt, że najlepszym piłkarzem I ligi okazał się bramkarz, też ma swoją wymowę. Pokazuje, że w naszej lidze zapanał styl defensywny. Jedenastu, nawet najlepszych bramkarzy żadnego meczu nie wygra. Gdzie są napastnicy z tamtych lat? Starsi swoje już zrobili, a gdzie młodzi? Wszystko to nie pomniejsza wprawdzie zasług Stanisława Burzyńskiego, ale najlepiej o I lidze nie świadczy.

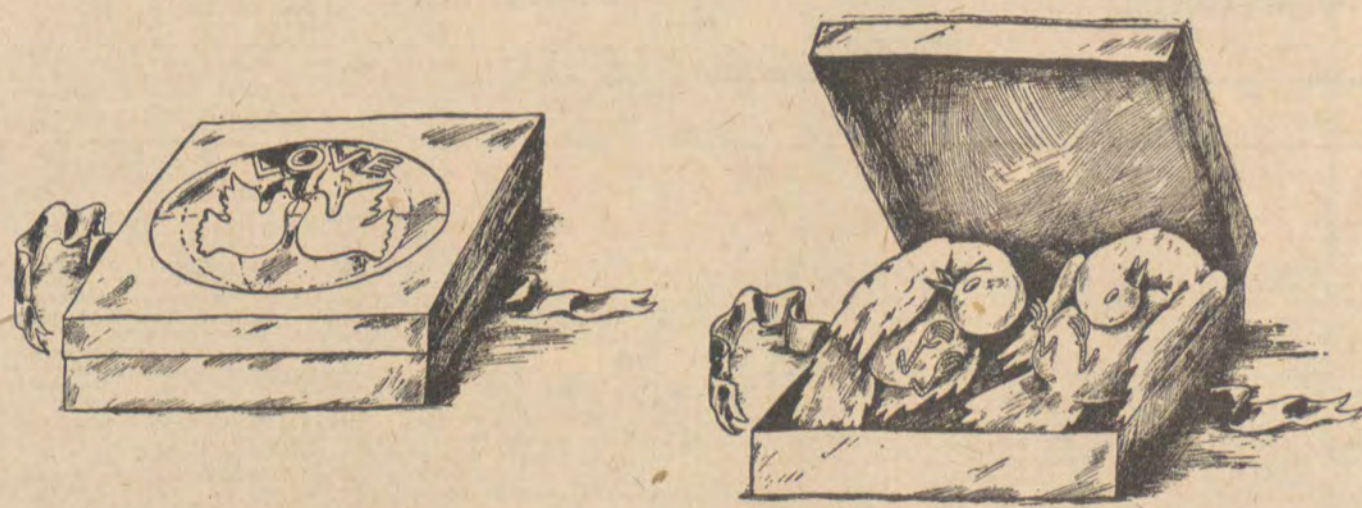
O piłkarzach LKS trudno napisać coś dobrego. Jeśli drużyna ostatnie mecze przegrywa z zespołami, które zagrożone są spadkiem i jeśli nawet wygrana ich nie uratuje, jak to było w przypadku warszawskiej Gwardii, to świadczą to już nie tylko o głębokim kryzysie drużyny, ale o absolutnym braku zainteresowania piłką nożną. Może więc piłkarze LKS zajęliby się czymś innym? Grać w piłkę po to tylko, aby przegrywać, potrafi każdy. Nawet trenować do tego nie trzeba.

Odetchnęliśmy wszyscy. Ale miną wakacje i niestety znów piłkarze wyjdą na boiska. Póki co, cieszymy się z odpoczynku. Dla kibiców zaskutego.

BOGDA MADEJ

Rys. Jan Zieliński

ZAMIAST FELIETONU



Załącznik nr.

HASŁO NUMERU: Kap się bez polykania nadmiernych ilości wody. Inni też chcą popływać

Kiedy zostanę trenerem...

Jan Tomaszewski — były bramkarz ŁKS i reprezentant Polski — udzielił wywiadu przedstawicielowi tygodnika „Piłka Nożna”. Stefanowi Szczepkowi. W wywiadzie tym powiedział:

„Kiedy zostanę sam trenerem — ale nieprędko, bo nie zamierzam jeszcze zagać się z boiskiem — będę dla piłkarzy bardzo wymagający. Jestem pewien, że będą mnie przeklinać i nienawidzić”.

Na szczęście „Piłka Nożna” nie jest pismem popularnym wśród młodzieży szkolnej, stąd też przyszli piłkarze żyją w całko-

witej nieświadomości, co ich czeka już niedługo, kiedy zaczną ich trenować Jan Tomaszewski.

A swoją drogą, jak ludzie się za granicą zmieniają. Ten sam Jan Tomaszewski, który był u-

trapieniem wszystkich polskich

slawny polski piłkarz — Włod-

mierz Lubanski. Powiedział przed

kamerami TVP Janowi Ciszew-

skiemu, że po wycofaniu się z

czynnego życia sportowego ma

zamiar zostać dziennikarzem

sportowym i rozmawiał już na-

wet w tej sprawie z kierowni-

ctwem telewizji polskiej.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-

zem pracowali — powiedział

Włodzimierz Lubanski Janowi

Ciszewskiemu.

Jan Ciszewski nie wykazał

entuzjazmu.

— Będziemy już niedługo ra-